



(836)

ROK XVI

46



ODGŁOSY

ŁÓDŹ, 15 LISTOPADA 1973 ROKU

TYGODNIK SPOŁECZNO - KULTURALNY

CENA: 3 ZŁ.



Fot. W. Parys

RYSZARD BINKOWSKI SEKRETARZ NA WIŚNIOWEJ WUESCE

Mały pokój. Wielkie mahoniowe biurko, szafa z książkami, kilka krzeseł. Na ścianie portret Lenina. Dopiero po chwili spostrzegam ukryty w kącie, tuż przy drzwiach, wieszak, na którym wisi czarna kurtka, motocyklowy kask i skórzana, dobrze wysłużona raportówka.

Za biurka wstaje na powitanie barczysty, krępy mężczyzna w zielonym swetrze. Ma szroniaste włosy, szeroką, nalaną twarz, siwe oczy pod krzaczastymi brwiami.

— A jakże — mówi — słyszałem, że ma ktoś być z „Odgłosów”. Mówił mi towarzysz Tomczyk z KP.

Zgadza się. Kiedy pytałem w KP o dobrego sekretarza partii w gminie, bez wahania wskazano mi JANA KAMOCKIEGO, I sekretarza Komitetu Gminnego PZPR w Lutomiersku.

— Ja dzisiaj od rana w terenie — mówi Kamocki — bo zaczęła się kampania przedwyborcza do rad narodowych. Rozmawiałem z ludźmi w Prusinowicach na temat kandydatur. Konsultacje ze społeczeństwem konieczne, wszystko musi być według planu.

— Podwożą was w teren samochodem?

— Gdzie tam — śmieje się i wskazuje motocyklowe akcesoria na wieszaku.

Ano prawda, widziałem przecież zaparkowaną pod urzędem gminnym wiśniową wueskę.

— Już piąty sezon tknę się motorem po terenie. Tak trzeba, zwłaszcza tutaj, w tej gminie.

Fakt. Gmina w Lutomiersku, jedna z największych w powiecie łódz-

kim. Prawie dziesięć tysięcy mieszkańców. 33 sołectwa, 67 wsi, 27 POP. Do najdalej położonej POP w Miąnowie jest 22 km. Kamocki mieszka w Konstantynowie, 7 km od Lutomierska, ma 52 lata, ale jeździ jak zawodowy crossowiec.

— Mam 300 km limitu miesięcznie na jazdę motocyklem.

— A ile przejeżdżacie?

— Siedemset...

Nie narzeka, latem, późną wiosną i wczesną jesienią można wytrzymać. Ale zimą, kiedy robota w gospodarstwach ustaje, nasila się praca partyjna. Wtedy trzeba sobie radzić samemu z dotarciem na zebranie, bo nie wolno zawieść ludzkiego zaufania.

— Kiedy wracacie z terenu do domu — pytam.

— Prawie zawsze o 21. Ale zebrania się przeciągają. Zimą zebranie w Albertowie skończyło się o 22, więc dymałem pieszo 7 km do przystanku, lecz ostatni tramwaj zwił i byłem w domu o 2 w nocy. Kilka razy trafiły mi się takie numery. Dobrze, że nie z Miąnowa, bo trzeba by było maszerować całą noc...

Do pokoju wszedł sekretarz gromadzkiego biura, K. BARTCZAK. Kamocki bardzo sobie chwali współpracę z nim. Bartczak był sekretarzem w najtrudniejszych gromadach, ma doświadczenie, a teraz, choć na urlopie, nie może się oderwać od roboty. Przyszedł spytać, co było na zebraniu KG FJN w sprawie wyborów.

— Przyniosłem też broszurę z wytycznymi do kampanii wyborczej. Przyda się.

— Wczoraj byłem w Stanisławowie — mówi Kamocki. — Tam wytypowano jedną kobietę, bezpartyjną.

— A wiecie, że oni będą mieć jednego radnego?

— Tak, trzeba się też zastanowić nad innymi kandydatami.

Pochylają się nad listą, omawiają skład socjalny kandydatów. Organizacyjny skład też ważny.

— Nie możemy nikogo skrzywdzić. Oprócz członków PZPR, ZSL są bezpartyjni, ale trzeba też myśleć o młodych z ZSMW, nie?

Jeszcze wszystkiego nie uzgodniłem. Wyciągam papierosy.

— Nie, nie palę — wzbrania się Kamocki. Głos ma chrypliwy. — Dość długo chorowałem na gardło, więc lekarz zabronił...

Zaciągam się i patrzę w okno na duży plac ze świeżo ułożonymi kra-

Dalszy ciąg na str. 5

ŻOŁNIERZE ZE ZNAKIEM „UN”

25 października 1973 roku Rada Bezpieczeństwa ONZ uchwaliła rezolucję 8 państw niezaangażowanych, wzywającą do niezwłocznego i całkowitego przerwania ognia na Bliskim Wschodzie i jednocześnie postanowiła utworzyć nadzwyczajne siły zbrojne ONZ dla nadzorowania zawieszenia broni. Było to już trzecie, kolejne wezwanie do zaprzestania walk. Izrael zignorował wezwanie do rozejmu z 22 października br., nie przyniosło także rezultatu ponowne wezwanie Rady Bezpieczeństwa o zaprzestanie działań wojennych z 23 października br.

„Podejmując tę decyzję — Biuro Polityczne i Rząd PRL stwierdza komunikat PAP — kierują się pragnieniem wnie-sienia wkładu Polski do zabezpieczenia pokoju i bezpieczeństwa międzynarodowego, zgodnie z generalną linią polityki PRL, ZSRR i całej wspólnoty socjalistycznej.”

Dalszy ciąg na str. 2

EWA BEKIER

BŁĘKITNI RYCERZE PUSTYNI

W samym sercu Sahary, na przełęczach wśród wulkanicznych masywów granitowych gór Hoggaru, Tassili i Air, obrwały sobie siedlisko plemiona wielkich nomadów saharijskich — Tuaregowie. Są oni potomkami starodawnych mieszkańców Sahary — libijsko-berberyjskich Garamantów, któ-

rych rydwany przed tysiącami lat przecinały pustynię od Nilu po Atlantyk. Tuaregowie zachowali wiele zwyczajów i form życia swych przodków.

Jeszcze przed 30 laty Tuaregowie byli zupełnie nieznani. Ich kraj, otoczony złodowaczącymi pustyniami i masywami górkimi, chronił ich skutecznie

przed obcymi. Ze swoich siedzib organizowali napady rabunkowe na bogate oazy, porywali czarnych niewolników z Sudanu, atakowali karawany i znikali w pustyni. Na początku naszego stulecia, kiedy Francuzi dotarli do Hoggaru, Tuaregowie zaprzestali rabunku, stając się już tylko uczestnikami karawan transportujących sól przez pustynię.

Z EPOKI KAMIENIA LUPANEGO

Na obszarze ponad milion km kwadratowych żyje obecnie 250 tysięcy koczujących Tuaregów. Drugie tyle stanowią Haratyni — wyzwoleni czarni niewolnicy, którzy dla swych panów nadal, mimo przemian ekonomicznych, wykonują podłe prace. Uprawiają

Dalszy ciąg na str. 4

Coraz więcej zdarzeń artystycznych potwierdza, że już nie tylko formalnie rozpoczął się nowy rok kulturalno-artystyczny. Niezależnie od szerszych refleksji na ten temat, jakie zamieścił w ubiegłym tygodniu w „Odgłosach”, chciałbym teraz zwrócić uwagę Czytelników, a przede wszystkim działaczy kultury na pewne zjawisko szczegółowe zwane „spotkaniem autorskim”.

Proszę mi wybaczyć, że posługuję się przykładem z własnego doświadczenia, ale tak się złożyło, że na 12 Rybnickich Dniach Literatary byłem jedynym pisarzem z Łodzi. I tu kilka słów wyjaśnienia. W Rybniku i Wodzisławiu w woj. katowickim od dwunastu lat odbywają się spotkania twórców z całego kraju. Są to spotkania głównie z literatami, ale nie brakuje też reprezentacji innych dziedzin sztuki i ruchu amatorskiego. W br. obok dwudziestoosobowej grupy pisarzy miał miejsce festiwal „Ateneum” przedstawił „Hyde Park” A. Kreczmar, teatr z

dach, m. in. na wsi. Ale i w czasie i w przestrzeni nie się nie zmieniało. Ta sama serdeczność, już przystawiona górnicza gościnność. Ale najbardziej zaskanawia i sprawna organizacja, i absolutna świadomość po co się to wszystko robi.

Właśnie to! Spotkanie autorskie w rybnickim wydaniu nie jest po to, żeby zadość uczynić statystyce. Każde jest starannie przygotowane. Ludzie na kilka tygodni wcześniej wiedzą, kto przyjdzie, jakie książki napisał — i najważniejsze — te książki mogą kupić i przeczytać. I kiedy dochodzi do spotkania z autorem, jest to spotkanie autentyczne.

To nieprawda, że pisarz wszystko może zamknąć w książce, że jego dzieło materializując się w postaci książki, zaczyna egzystować samodzielnie i nie potrzebuje pośredników. Potrzebuje — i jest nim księgarz, bibliotekarz, recenzent. I chyba dobrze, jeśli sam autor może pospierać się z ludźmi, których wyobraźnię poruszył (lub nie) swoimi problemami.

DEDYKACJA

Zabrza „Klik-klak” J. Abramowa, był również nasz zespół „Wesele Boryny” z Lipiec Reymontowskich). Ponadto wystąpiły liczne zespoły amatorskie z piosenką, recytacją wierszy, inscenizacją, orkiestry dęte. Aleksandra Śląska miała kilka spotkań indywidualnych, a byłowców ZMS-owskiego klubu „Alligator” bawił Jan Stanisławski ze swoją ekipą.

I to wszystko przez trzy dni. I z podobnym rozmachem od lat dwunastu. Podkreślam ten fakt szczególnie, bo nie brak nam było w przeszłości imprez tego typu, różnych „Wiosen” i „Jesieni” poetyckich, które były typowymi efemerydami, których organizatorom nie starczyło wytrwałości rybnickiej. Wytrwałości, ale i chyba czegoś więcej, co zdecydowało o ich sukcesie: w tej krainie węgla myśli się o kulturze tak jak się myśleć powinno. Ktoś tam u nich słuszenie i ładnie powiedział, że jest to „kultura węglem pisana”. W atmosferze kultury pracy, solidnej roboty, w wysokim poczuciu odpowiedzialności, w powadze z jaką traktuje się zarówno pracę jak i odpoczynek — docenia się i robi wszystko, aby dynamicznie rozwijać gospodarczo tej ziemi towarzyszył rozwój kultury. Świadomość nierozdzielności tego układu: praca — sztuka, ukształtowała na Ziemi Rybnicko-Wodzisławskiej liczną grupę działaczy kulturalno-oświatowych, a przede wszystkim przyczyniła się do aktywnej współpracy w tym, co ludzie sztuki z całego kraju tu proponują.

Wróćmy jednak do spotkań autorskich. Miałem cztery spotkania w różnych środowiskach: z górnkami, młodzieżą szkolną, pracownikami biura inwestycyjnego, grupą działaczy partyjnych. Przed trzema laty też tu byłem, oczywiście w innych miejscowościach, m. in. na wsi. Ale i w czasie i w przestrzeni nie się nie zmieniało. Ta sama serdeczność, już przystawiona górnicza gościnność. Ale najbardziej zaskanawia i sprawna organizacja, i absolutna świadomość po co się to wszystko robi.

I jest to szansa przede wszystkim dla pisarzy. Ta możliwość konfrontacji własnych przemyśleń ze społecznym zapotrzebowaniem. To utwierdza w jednym i nakazuje zastanowić się, często poczynić korekty, w innym. Autor też człowiek. Potwierdzenie, że jego robota piórem jest potrzebna, jest ważne. I wierzę mi, jest to tylko pozorne banalne stwierdzenie.

W bogatej kronice „Dni” odnajdujemy liczne potwierdzenia. Piszą to samo mniej więcej Putrament, Zukrowski, Kawalec, popularni tu szczególnie pisarze z górnictwa: Wilhelm Szewczyk i Leon Wantula. Potwierdzenie to znajduje w licznych rozmowach między pisarzami, z organizatorami, a wreszcie w dyskusjach na setkach spotkań, których ilość przez lat dwadzieścia poszła w tysiące.

Powie ktoś: oż w tym dziwnego? Przecież tak powinno być. Ale nie jest. I z własnych doświadczeń i z wypowiedzi kolegów (często publicznych: Henryk Worcell nawet książkę o swoich spotkaniach napisał) wiem, jak często robi się z tych spotkań parodie. Jak często pisarz jest zapach-dziurą w kalendarzu imprez. Jak często organizatorzy dowiadują się „ze szczybla” w ostatniej chwili, że przyjdzie jakiś tam pan X i trzeba zorganizować „freakwencję”. Jak nieradko w tym celu śledzą się Boga ducha winne dzieł w wieku przedszkolnym. Z jakim zdziwieniem podpisuje się własną książkę.

Podaję przykłady krańcowe, trochę przesadzą. Chciałbym jednak prosić działaczy kulturalnych, ludzi których pracy przeceniłem nie sposób, żeby ten rybnicki przykład potraktowali nie jako kamysek do ogródka, lecz jako serdeczną dedykację.

JERZY WAWRZAK

SPOTKANIE Z WIELKOPOLSKĄ

Spotkaliśmy się po raz trzeci, kach u dyrektora Bajera, w sypolno Gdańsku, Katowicach. W dn. 5 i 6 listopada blisko 200 osobowa grupa twórców z całej Polski zjechała się do Poznania. Po zapoznaniu się z budową Portu Północnego, problemami przemysłowego Śląska, przyszła kolej na wielkopolską rolnictwo. Poznań i Wielkopolska nie tylko rolnictwem może się poszczycić, ale tematem spotkania był taki i trudno byłoby znaleźć miejsca lepsze, by go ludziom kultury i sztuki lepiej zilustrować.

Pierwszy dzień grupy, do której i ja należałem, upłynął pod rolniczym Wydziału Kultury KC PZPR ocenili na końcowym spotkaniu wysiłki gospodarzy na spotkanie „plenaryjne”. Wszyscy „piątkę z plusem”, nie było uczestników zjechała się na niespełnym nic z kurtuazji. I nie była na dwie godziny na spotkanie z to tylko jego ocena, ale odczucia partyjnymi i administracyjnymi wszystkich uczestników spotkania, władzami województwa. Gospodarczym był Jerzy Zasada, I sekretarz KW PZPR. To od niego jakby wzięli przykład wszyscy towarzysze wprowadzający nas później w wielkopolskie problemy. I sekretarz mówił lapidarnie, ale celnie, gdy było trzeba z dużym poczuciem humoru, z pewnością i z serdecznością i należytą powagą dla rangi omawianych spraw.

I tak było wszędzie, w Maniecz-

wyższe od średnich krajowych. Bo jest tu z kim pracować. Załoga od 700 do 1000 osób (sezon) ale w tym 20 inżynierów i 50 techników. Stare tradycje dobrej roboty, solidności i kultury rolnej, idą tu w parze z najwyższymi kwalifikacjami zawodowymi.

Ala czy same wyniki są tu najważniejsze? Dbanie o człowieka również, a może przede wszystkim. Tylko kto tutaj te rzeczy rozdziała. I degustując kurczaka w kombinatowym zajeździe „Kogucik”, słuchając chóru „Grana” i orkiestry wykonującej hymn Manieczek wiemy, że wiążą tych ludzi z tym miejscem nie tylko wysokie zarobki, liczne przywileje i wygody stworzone i wypracowane wspólnym wysiłkiem — ale także poczucie dumy, że współtworzą się dużą rzeczą, daje przykład innym.

I tak samo jest w Nowym Świecie, jednej z nielicznych spółdzielni, która nigdy nie przeżywała kryzysów. I kiedy oglądaliśmy mieszkania spółdzielców patrzyliśmy na siebie nieco zdziwionymi oczyma. Chcieliśmy chyba wszyscy zamienić nasze M-3 czy M-5 na te spółdzielcze, nowoczesnie zaprojektowane i urządzone „dwojaki” i „czworaki”. I tu jak w Manieczce ta sama jedność spraw produkcji i warunków życia, rozwoju kulturalnego. I kiedy prezes Królik mówi o przyszłości, to mu się wierzy, że nie fantazjuje, bo to co było fantazją jeszcze dziesięć, piętnaście lat temu, jest już zrealizowane. Chłopskim uporem, konsekwentnością, liczeniem sił

na zamlary. I zaufaniem do polityki partii i państwa.

W Manieczkach lekcja patriotyzmu. Gdzie dzisiaj jest budynek dyrekcji mieszkał i zmarł generał Józef Wybicki, autor hymnu państwowego. Na dziedzińcu obelisk poświęcony jego pamięci. Składamy kwiaty w asyście młodzieży i ulańskiego orszaku na koniach. W ten jesienny słoneczny dzień chwila refleksji, zadumy. Skąd się tutaj wzięliśmy.

W Nowym Świecie lekcja najnowszej historii. Z jakiego miejsca startowała nasza wieś, gdzie jest obecnie, jakie ma perspektywy. Pamięć, w tym wypadku nie zawsze dobra, łagodzi jasnymi barwami dzień dzisiejszy, chociaż jest dla odmiany chłodny i słotny. Bo nie może być inaczej pod naporem faktów, które są tak samo wymowne nawet dla ludzi o tak odmiennych profesjach, jak przybyli tu goście z całego kraju.

(J. W.)

NOTY I OPINIE

◀ OD 1 STYCZNIA 1974 ROKU nastąpią „rewolucyjne” zmiany w układzie komunikacyjnym miasta. Jest to wynik pracy Biura Rozwoju Łodzi, a także podjętymi niebezpiecznymi w przebudowie i unowocześnieniu centrum miasta.

Od 1 stycznia 1974 roku ulicą Piotrkowską jeździć będą tylko autobusy MPK i taksówki, ulicą Tuwima, Struga i Traugutta staną się ulicami jednokierunkowymi. Ulicą Gdańską jeździć będą tylko tramwaje.

W wyniku tych zmian do celu trzeba będzie jechać dłuższą drogą niż obecnie, ale według opinii autorów projektu będzie to droga wygodniejsza i — przede wszystkim — bezpieczniejsza. Zmiany te wiążą się z przebudową ulicy Główniej, Al. Kościuski i ul. Zgierskiej, które będą zamknięte dla ruchu kołowego.

Zmiany te wywołają zapewne narzekania łodzian, ale warto trochę pocierpieć, aby miasto otrzymało nowoczesne arterie komunikacyjne. Jedno mamy tylko

ŁÓDZKIE. W konkursie może udział wziąć każdy, kto do 30 listopada 1973 roku nadesłanie formularz w dowolnym formacie, ale nie mniejszym niż pocztówkowy.

Prace na konkurs należy nadsyłać na adres: MUZEUM HISTORII WŁÓKIENICTWA, 93-034 Łódź, ul. Piotrkowska 282, działy naukowo-oświatowe. Prace powinny być oznaczone godłem, którym należy również oznaczyć załączoną kopertę z nazwiskiem i adresem autora. Organizatorzy wystawiają zgłoszone prace w grudniu br. na wystawie w Muzeum Historii Włókiennictwa, a najlepsze otrzymają nagrody rzeczowe oraz mogą być zakupione.

◀ USŁUGI były ostatnio przedmiotem obrad Prezydium Rządu, które rozpatrzyło wstępne kierunki działań w tej dziedzinie gospodarki w latach 1974-1975. Stwierdzono, iż:

◀ Zgodnie z ustaleniami I Krajowej Konferencji Partyjnej, w projekcie programu rozwoju tych usług jako wiedzący przyjęto założenie, iż tempo ich wzrostu musi być dynamicznie wyższe niż tempa wzrostu innych dziedzin gospodarki.

widziane w Art. 41 będą niedostateczne lub się takimi okazały, może ona przeprowadzić siłami powietrznymi, morskimi i lądowymi taką akcję, jaką uważa za konieczną dla utrzymania lub przywrócenia międzynarodowego pokoju i bezpieczeństwa. Akcja ta może obejmować demonstracje, blokadę i inne operacje sil zbrojnych...

Art. 43. 1. Aby przyczynić się do utrzymania międzynarodowego pokoju i bezpieczeństwa, wszyscy członkowie ONZ zobowiązują się postawić do dyspozycji Rady Bezpieczeństwa, na jej żądanie i stosownie do specjalnego układu lub specjalnych układów, konieczne dla utrzymania międzynarodowego pokoju i bezpieczeństwa siły zbrojne,

ŻOŁNIERZE ZE ZNAKIEM

„UN”

pomoc i ułatwienia, włączając w to prawo przemarszu. 2. Taki układ lub układy określają liczbę i rodzaj sił zbrojnych, stopień ich pogotowia i ogólne rozmieszczenie oraz rodzaj ułatwień i pomocy, jakich należy udzielić”.

Po raz pierwszy flagę ONZ wykorzystano podczas wojny w Korei. 25 czerwca 1950 roku rozpoczęła się wojna koreańska. Już następnego dnia prezydent USA Harry Truman zarządził zbrojną interwencję wojsk amerykańskich w Korei. W tym czasie w obradach Rady Bezpieczeństwa nie uczestniczyli przedstawiciele ZSRR i ChRL. Na wniosek USA Rada zaaprobowała interwencję amerykańską i zaleciła innym członkom ONZ jej wspomaganie. 7 lipca 1950 roku Rada Bezpieczeństwa bez udziału ZSRR i ChRL ustanowiła stworzenie wspólnego dowództwa ONZ dla interwencji w Korei, przyjęcie przez te wojska flagi ONZ, a USA poprosiła o mianowanie dowódcy. Został nim gen. Mac Arthur.

ZSRR złożył protest do Sekretarza Generalnego Trygve Lie. Protestu nie uwzględniono. Mimo wykorzystania flagi ONZ, trudno nazwać wojska amerykańskie i oddziały ich sojuszników siłami zbrojnymi ONZ. Występowały one nie w obronie pokoju, a prowadziły wojnę jako jedna ze stron.

Po raz drugi skorzystano z postanowień VII rozdziału Karty NZ w roku 1956, kiedy to oddziały zbrojne ONZ występujące pod nazwą UNFIC (Unitar Nations Emergency Force)

skierowano do strefy Gazy i na pogranicze między egipską prowincją ZRA a Izraelem. Siły zbrojne ONZ powołało wtedy Zgromadzenie Ogólne NZ uchwałą z 5 listopada 1956 roku. W ich skład weszły oddziały: Brazylia, Kanada, Kolumbia, Dani, Finlandia, Indii, Indonezji, Norwegii, Szwecji, i Jugosławii. Wojska te przebywały w strefie Kanalu Sueskiego przez kilka lat.

Również i w tym wypadku ZSRR zgłosił zastrzeżenie, że powołanie sił zbrojnych ONZ odbyło się w sposób nieformalny, gdyż w myśl VII rozdziału Karty NZ uchwałą taką podejmuje Rada Bezpieczeństwa.

W 1960 roku Rada Bezpieczeństwa powołała Oddziały Zbrojne ONZ w Kongu, którym nadano francuską nazwę: Organisation des Nations Unies, Congo (ONUC). Powołano je dla udzielenia pomocy wojskowej rządowi Republiki Konga aż do czasu, gdy siły zbrojne Republiki będą zdolne do samodzielnego działania. Bezpośrednią przyczyną powołania ONUC była belgijska agresja przeciwko Republice Kongu.

W skład ONUC weszły oddziały wojskowe: Etiopii, Ghany, Gwinei, Indonezji, Irlandii, Liberii, Malai, Mali, Senegalu, Maroka, Nigerii, Sudanu, Szwecji, Tunezji i ZRA. Pod flagą ONZ zgromadzone wtedy około 20 tys. żołnierzy. ONUC nie spełnił jednak swego zadania, gdyż mimo ich obecności nie udało się zapobiec zamordowaniu Patrice Lumumby, tyśięcy patriotów kongijskich i tragicznej śmierci Sekretarza Generalnego ONZ — Daga Hammarskjöld. Żołnierze ONZ nie byli w stanie, mimo dwukrotnego aresztowania, postawić przed sądem Moise Czumbe, bezpośrednio oskarżonego o spowodowanie morderstwa.

Dowództwo ONZ w Kongu krytykowane było za brak zdecydowania, w wyniku czego doszło do umocnienia wpływów Union Minière oraz pozycji Mobutu.

Ostatecznie wojska ONZ wycofano z Konga w czerwcu 1964 roku.

Kiedy na początku 1964 roku doszło do walki między ludnością grecką i turecką na Cyprze, Rada Bezpieczeństwa poleciła utworzenie sił zbrojnych ONZ dla Cypru (UNFIC). Na wyspie wylądowało wówczas przeszło 6 tys. żołnierzy. Wojska te skutecznie wypełniały swoją misję, zapobiegły bowiem zbrojnym konfliktom, aczkolwiek polityczny problem Cypru nie został rozwiązany do dziś.

Obecnie — po raz pierwszy — w siłach zbrojnych ONZ uczestniczyć będą oddziały wojskowe państwa socjalistycznego, członka Paktu Warszawskiego. Udział polskich żołnierzy w UNEF jest zaszczytnym wyróżnieniem i uznaniem dla polityki zagranicznej PRL.

BOGDA MADEJ

(Dalszy ciąg ze str. 1)

Zgodnie z rezolucją siły zbrojne ONZ (UNEF) mają składać się z żołnierzy państw członkowskich ONZ, z wyłączeniem stałych członków Rady Bezpieczeństwa. Jako pierwsze wylądowały w Egipcie wojska ONZ, znajdujące się do tej pory na Cyprze, w skład których wchodziły oddziały Austrii, Finlandii i Szwecji. Pierwszy rzut sił zbrojnych ONZ, popularnie zwanych „niebieskimi hełmami”, liczył około 600 żołnierzy. Na prośbę Sekretarza Generalnego ONZ — Kurta Waldheima, Finlandia i Szwecja zgodziły się powiększyć swoje kontyngenty żołnierzy na Bliskim Wschodzie. Tymczasowym dowódcą sił zbrojnych ONZ został gen. Ensio Siilasvuo z Finlandii, szef zespołu obserwatorów ONZ na Bliskim Wschodzie.

Podczas debaty Rady Bezpieczeństwa z 2 listopada br. postanowiono zwiększyć liczbę żołnierzy doraźnych sił zbrojnych ONZ na Bliskim Wschodzie do 7 tysięcy. Uwzględniając 3 zasadnicze kryteria obowiązujące przy tworzeniu wojsk UNEF: sprawiedliwej reprezentacji geograficznej, konsultacji składu wojsk z zainteresowanymi stronami oraz pełnej sprawności operacyjnej niezbędnej dla wykonywania powierzonych zadań — Rada Bezpieczeństwa poleciła Sekretarzowi Generalnemu ONZ, aby rozpoczął konsultacje z rządami: Ghany, Indonezji, Kanady, Nepalu, Panamy, Peru i Polski, w celu szybkiego uzupełnienia kontyngentu sił ONZ na Bliskim Wschodzie.

W odpowiedzi, Biuro Polityczne KC PZPR i Rząd PRL podjęły decyzję o skierowaniu jednostki Wojska Polskiego do doraźnych sił zbrojnych ONZ na Bliskim Wschodzie.

Zgodnie z VII rozdziałem Karty Narodów Zjednoczonych, noszącym tytuł: „Akcja w razie zagrożenia pokoju, naruszenia pokoju i aktów agresji”, Rada Bezpieczeństwa stwierdziła istnienie zagrożenia lub naruszenia pokoju, bądź aktu agresji zaleca i decyduje o środkach, jakie należy podjąć dla utrzymania pokoju i bezpieczeństwa na świecie. W jej kompetencji leży powoływanie sił zbrojnych ONZ, wymagające akceptacji pięciu stałych członków Rady Bezpieczeństwa. Poszczególne artykuły VII rozdziału Karty NZ precyzują to dokładnie:

„Art. 41. Rada Bezpieczeństwa może określić, jakie środki, nie pociągające za sobą użycia siły zbrojnej, należy zastosować dla wykonania jej decyzji, oraz może zażądać od członków ONZ zastosowania takich środków. Środki te mogą obejmować zupełne lub częściowe wstrzymanie stosunków gospodarczych oraz komunikacji kolejowej, morskiej, lotniczej, pocztowej, telegraficznej, radiowej i innej jak również zerwanie stosunków dyplomatycznych. Art. 42. Jeśli Rada Bezpieczeństwa uzna, że środki prze-

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, ANDRZEJ GRUN (redaktor graficzny), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, CELINA PALUCH (redaktor techniczny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (sekretarz redakcji) MAREK WAWRZKIEWICZ. Stałe współpracują: KAROL BADZIAK, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, EWA NURCZYŃSKA, JANUSZ SKOŚKIEWICZ, WITOLD ŚLAWSKI.

PRAWEM NAJWYŻSZYM „CAŁOŚĆ NARODU”

„Pamięć Komisji Edukacyjnej zrodzonej w dniach upokorzenia naszego i żaloby, jest zarazem chlubnym świadectwem, iż naród, który zdobył się na nią był zdolny, upadał nie z własnej winy, lecz raczej ofiarą politycznych intryg, które go opasały”.

JOZEF IGNACY KRASZEWSKI

Szczupłe grono ludzi postępu rozumiało w jakim niebezpieczeństwie znalazła się Rzeczpospolita po czasach saskich. Przywileje szlacheckie wy-paczyły pojęcie wolności i swobód obywatelskich a nieszczerne liberum veto zrywało niemal każdy sejm. Korona królewska Piastów, Jagiellonów i Batorego stała się obiektem publicznych przetargów, gdyż sława polskiego oręża była już tylko odległym wspomnieniem.

W dniach takiego kryzysu państwowości polskiej zaczęły pojawiać się głosy wzywające do gruntownych reform na wszelkich polach życia społecznego, politycznego i kulturalnego. Jednym z pierwszych reformatorów był założyciel Collegium Nobilium, STANISŁAW KONARSKI. Widząc, że w szkołach kościelnych królują w „światym ciągu mroki średniowiecznej, szczytujące utrwalaniu wad narodowych i otepianiu społeczeństwa, postanowił przeciwstawić im nową szkołę. W przeciwieństwie do Czartoryskich i Potockich, jego akademii dowiodła, że nie w obcych, ale narodowych siłach można szukać wartości zdolnych do podniesienia kraju z upadku.

Komisja Edukacji Narodowej powstała w dwa miesiące po śmierci Stanisława Konarskiego, 14 października 1773 roku, stając się niejako testamentem duchowym dalekowzrocznego pijara. Przyswlecało jej przez 21 lat prężnej

aktywności jego wielkie hasło: przez reformę wychowania do odrodzenia ojczyzny. Jednakże reforma pierwszego ministerstwa oświaty była szersza od wypracowanej wysiłkiem twórcy Collegium Nobilium. I nie tylko z tego powodu, że objęła wszystkie szczeble szkolne od najniższego aż do szczytowego, w myśl hasła: „Nie całość jednego stanu, ale całość narodu jest prawem najwyższym”.

Konarski ulepszył szkolnictwo szlacheckie, bo tylko warstwa kierująca wszelkimi procesami życia publicznego znalazła się w polu jego widzenia, natomiast Komisja Edukacyjna dostrzegła wszystkie stany, dokumentując tym egalitarny a w każdym razie demokratyczny rys swoich przeobrażeń oświatowych i wychowawczych.

Nieprzebrzmiała zasługa Komisji pozostanie gorliwość z jaką zajęła się nauka ludu, ponieważ rozumiała, jak świadczyć o tym jej „Ustawy” z roku 1783, że „nie ma innego sposobu wprowadzenia ludu z ciemności i błędów, z pochodzących z tego źródła wad i wstępów, jako nowe pokolenia zaraz w początkach ich życia oświecać, drogę im enoty ukazywać a czynną edukacją sereca do zamilowania powinność ukształcać...”

Po raz pierwszy w Polsce zainteresowała się Komisja wychowaniem kobiet. Wprawdzie szkół żeńskich nie zdążyła zaprowadzić, ale organizowała pensje prywatne, w których wykładano naukę moralną, religijną i język ojczysty a dodatkowo arytmetykę, geografję i historię.

Dalej od reformy Stanisława Konarskiego poszły wysiłki Komisji w kwestii nauczania języka polskiego, którego umiętność „jest sama przez się dla Polaków celem nauki jego”, podczas gdy łacina tylko „środkiem i drogą”. Wobec tego wszystkie szkoły na terenie Korony i Wielkiego Księstwa Litewskiego miały obowiązek wprowadzenia

na miejsce łaciny język ojczysty jako wykładowy.

We wszystkich placówkach oświatowych zapanował kierunek praktyczny. W szkołach ludowych wprowadzano młodzież zarówno w arkana religii, moralności, czytania, pisania i rachunku, jak również w tajniki nauk gospodarowania i wiadomości praktycznych. Do programów szkolnictwa średniego weszły między innymi nauka obywatelska, zaznajamiania młodych adeptów z ustrojem państwa i obowiązkami obywateli względem ojczyzny. Innowacją była nie tylko nauka prawa, ale też umiejętności praktycznych w rodzaju rolnictwa, ogrodnictwa, miernictwa a także higieny, ponieważ „zdrowie jest rzeczą najdroższą i najpotrzebniejszą na świecie”.

Reforma Komisji Edukacyjnej była olbrzymim krokiem naprzód w porównaniu z dawnymi szkołami kościelnymi, w których niemal wyłącznie uczono religii i łaciny. Projekty oświatowe tej instytucji przetrwały nie tylko na papierze, ale wcieliły się w czyn, dzięki... szkatule jezuitki. W lipcu 1773 roku bulla papieska Klemensa XIV skasowała rozpanoszone zakon, mający ambicje monopolistyczne nie tylko w sprawach szkolnictwa, ale również w zagadnieniach dogmatycznych. Sejm polski 1773 r. na wniosek Joachima Chreptowicza przekazał majątek zlikwidowanego zakonu na cele oświaty. Oczywiście poprzednie wzywanie Konarskiego i fundusze były dopiero punktami wyjścia wielkiego dzieła reformy, natomiast o jego prawdziwym obliczu zdecydowali sami komisarze. Szczęśliwym trafem w skład tego grona weszli najwzięlejsi obywatele zdecydowanie gorący nad otoczeniem rozległością wykształcenia i głębią myśli. Obok Chreptowicza wymienić należy Ignacego Massalskiego, Michała Poniatowskiego, Andrzeja Zamoyńskiego, Ignacego Potockiego i Adama Czartoryskiego. Mniej wyróżnili się: August Sulkowski i Antoni K. Po-

niński, których z czasem zastąpił Hugo Kollataj, najtęplejszy umysł polski osiemnastego stulecia, reformator Uniwersytetu Jagiellońskiego, Julian Ursyn Niemcewicz, znakomity pisarz i prawdziwy patriota oraz Grzegorz Piramowicz, najznakomitszy pedagog osiemnastego wieku.

Stanisław Kot charakteryzując zasługi tej instytucji przyznał, że „wywalczyła zwycięstwo zasadzie upaństwowienia szkolnictwa i wpływu rządu na wychowanie przyszłych obywateli, obalila tradycję zależności szkoły od kościoła, rozpoczęła planowe kształcenie nauczycieli... Dalej, zbudowała potężne wiązanie szkolnej hierarchii jakie dopiero w 20 lat później miał stworzyć dla Francji Napoleon, dzięki czemu wydołała z leniwego społeczeństwa wielki zasób energii”.

Działalność Komisji posłużyła za wzór nie tylko Francji, przodującej zazwyczaj w życiu duchowym Europy, lecz stała się przykładem dla pozostałych państw, między innymi Prus i Rosji. Aleksander I tworząc w 1807 roku ministerium oświaty, posługiwał się projektem Ludwika Platera, czerpiącego model tego typu placówki z naszej Komisji Edukacyjnej.

Tragedia Targowicy kładąc się czarnym cieniem na całe życie publiczne w Polsce zniszczyła działalność tej świetnej instytucji. Jednakże właściwy dobór współpracowników, świetna organizacja i wewnętrzna spójność pozwoliła przetrwać wielkiej reformie upadek Polski. Początkowo szkoły we wszystkich zabarach utrzymywały program narodowy, który odrodził naród, wydobywając z niego potężne pierwiastki hartu, niezłomnej woli i wielkiej mocy przetrwania. Społeczeństwo polskie zapatrzona w świt zmartwychwstania narodowego akceptowało je ofiarnie, upatrując w nich ostoję własnych tradycji i kultury.

WŁODZIMIERZ ŁUSZCZYKIEWICZ

UCZEŃ NA STANCJI

Gdyby z materiałów, jakie napływają do Kuratorium Okręgu Szkolnego Łódzkiego ułożyć referat o sytuacji uczniów na stacjach, to — oczywiście bez okazjonalnego wstępu — zajęłby on zaledwie kilkanaście wierszy.

„Na stacjach zamieszkuje tyle i tyle osób. Wszyscy mają zapewnione dostateczne warunki bytowania. Stacje nie budzą zastrzeżeń. Są często odwiedzane i kontrolowane przez wychowawców”.

Ale w praktyce jest inaczej.

W Zgierzu na przykład, większość uczniów pozostających na stacji nie korzysta z oddzielnego pokoju. Zwykle jest to tak zwany kąt przy rodzimym. Jeśli już trafi się samodzielne pomieszczenie, to korzysta z niego kilka osób.

Co do tzw. „dostatecznych warunków bytowania”, też bym miał niejakie wątpliwości. Najczęstsze bowiem niedomagania, to brak urządzeń higieniczno-sanitarnych. Tak jest w Łowiczu, Zduńskiej Woli, Piotrkowie, Radomsku — wymienić można by w nieskończoność.

Przyczyna? Bardzo prozaiczna. Większość właścicieli stacji mieszka w starym budownictwie lub domkach jednorodzinnych, a są to w przeważającej mierze renciści lub pracownicy fizyczni. Tylko nieliczna grupa zamieszkuje w blokach, posiadających wszystkie urządzenia. Prosty więc stąd wniosek, że dla 200—250 złotych miesięcznie, bo tyle wynosi średnio opłata za stację — nikt nie będzie ekstra fundował sobie łazienki czy centralnego ogrzewania. To, co jest, starczało dziadkom, dlaczego więc wnuki miałyby narzekać?

I wreszcie sprawa kontroli przeprowadzanych przez trójki rodzicielskie i wychowawców. Przepisy mówią, że powinny one mieć miejsce przynajmniej raz na rok. Sprawozdania głośno, że przeprowadza się ich kilka, uczniowie nie mówią nic, usmiechają się porozumiewawczo.

Jak jest naprawdę?

Bądźmy optymistami i zawiermy dokumentom. Tym bardziej, że jeden z nich odnotowuje nawet wrywkową kontrolę stacji, przeprowadzoną przez przedstawiciela „Dziennika Łódzkiego” wespół z pracownikami Wydziału Oświaty i Kultury oraz funkcjonariuszem MO. Tylko o wy-

niku tej kontroli ani słowa. Klasyczne „omówienie przez zapomnienie”. Ale żarty kończą się w chwili, gdy przyjrzymy się z bliska liczbom.

Analiza danych statystycznych z października ubiegłego roku wskazuje, że w województwie łódzkim uczęszczało do szkół średnich i zawodowych 50.891 uczniów. Z tego na stacjach i w internatach przebywało 10.315 uczniów. Większość — w internatach. I choć wielu wychowanków doszło do wniosku, że stacja to zło konieczne, które zniknie samo przez się przy dostatecznej ilości miejsc w internatach, to uważam, że póki to „zło konieczne” istnieje warto się nim zajmować. Tym bardziej, że realia dnia powszedniego nie gwarantują rychłego końca stacji.

W roku ubiegłym na terenie województwa oddano do użytku cztery internaty: Szkoły Specjalnej w Rawie Mazowieckiej, ze 150 miejscami, Technikum Elektrotechnicznego w Zychlinie — z 250 miejscami, Studium Nauczycielskiego w Piotrkowie — z 350 miejscami i Liceum Ogólnokształcącego — z 250 miejscami.

Ilość miejsc w internatach powiększyła się. Nie oznacza to jednak wcale, że polepszyły się warunki mieszkaniowe uczniów. W Technikum Elektrotechnicznym na przykład znalazło lokum 240 uczniów. Zrobiono to w prosty sposób — zamiast 135 przewidzianych łóżek wprowadzono „tylko 120”, ale za to pięciokrotnie. Wynik jest? Jest! Ale jakim kosztem? W Kamiensku w internacie na 200 miejsc sporą część zajmują nauczyciele, dla których w miejscowym środowisku nie udało się znaleźć mieszkań.

Dwa przykłady i już rysa na idealnym obrazie, jaki zbudować by można na podstawie sprawozdań. Choć, oddaj-

my sprawiedliwość i one nie kryją niepokojów. W Piotrkowie koniecznym jest wybudowanie internatu między szkolnego. Do czterech liceów ogólnokształcących dojeżdża tu codziennie 626 uczniów. Podobnie jest w Sulejówce, gdzie liczba dojeżdżających przekracza 230 osób. O to samo zabiega Zduńska Wola.

Potrzeb jest więcej i wiadomo, że nie zostaną one od razu zrealizowane. Związane są bowiem z inwestycjami, które muszą wejść do normalnego cyklu. Na to nie ma rady. Trzeba więc szukać innego wyjścia. Jak na razie zdawałoby się, idealnym rozwiązaniem byłoby półinternaty. Wprawdzie początkowo pomyślane wyłącznie jako pomoc dla młodzieży dojeżdżającej, rychło okazały się skuteczne i dla tych ze stacji. W Piotrkowie zorganizowano je niemal przy wszystkich młodzieżowych liceach ogólnokształcących. Czynne już przed godziną siódmą, nastawione są przede wszystkim na wydawanie drugich śniadań i obiadów. Zmęczeni i zmarnieci uczniowie mogą się więc ogrzać, a także powtórzyć lekcje do chwili rozpoczęcia zajęć.

W piotrkowskim III LO posunięto się dalej i podczas zimowych miesięcy kuchnie półinternatów wydają bezpłatnie i w nieograniczonych ilościach herbatę już od godziny 7.30. Oddano również do dyspozycji uczniów świetlice i sale szkolne, by czekająca na czas odjazdu pociągu lub autobusu młodzież mogła odrabiać lekcje po zajęciach szkolnych.

Robi się więc sporo, ale są to wszystko półśrodki, które problemu nie zlatwiają.

Z pedagogicznego i wychowawczego punktu widzenia najbardziej istotną dla ucznia na stacji jest sprawa należytej opieki ze strony wychowawców. Nie jest tajemnicą, iż jest ona niedostateczna. Wrywkowe, pobieżne z konieczności kontrole, żadnych efektów nie dają i dać nie mogą. Potrzebna jest stała opieka, a na tą — jak twierdzi spora grupa nauczycieli — czasu nie starcza. Trudno się zresztą dziwić. Fakt obarczania nauczycieli nie kończącymi się obowiązkami dodatkowymi, tak zawodowymi jak i społecznymi, jest znany. Gdyby więc przyszło choć raz w tygodniu odwiedzić kilkadziesiąt stan-

cji i w każdej zatrzymać się po paręnaście minut — zajęłoby to drugi tydzień.

Można by zapytać, dlaczego nauczyciel działa sam? Ma przecież do pomocy rodziców, organizacje szkolne. Ma! Ale konia z rzędem temu, kto rodzicielską trójkę zbierze w komplecie na określony dzień i o określonej porze. A to w pracy coś wypadło i przyjdzie nie można, a to pilne sprawy rodzinne, a to zebrania itd.

Jak dobrze się przyjrzeć, to w wielu szkołach, których uczniowie korzystają ze stacji, nie ma nawet porządnego planu pracy, a wiedza o tym, co się dzieje na stacjach, pochodzi jedynie z zasłyszanych opinii, albo ze spraw, które już światło dzienne ujrzały.

Co w tej mierze robią organizacje szkolne — ZMS i ZHP? Ich przedstawiciele orzekli, że dużo — ja stwierdziłbym, że niewiele. I co najgorsze — obie strony miałyby rację. W ich sprawozdaniach na pewno znalazłoby się wiele danych potwierdzających udział w akcji „Stacje” — ja zaś w sprawozdaniach Kuratorium tylko w jednym przypadku natrafiłem na konkretny ślad takiej działalności. Dotyczy on Zgierza — konkretnie Technikum Włóknienniczego, gdzie największa ilość uczniów korzysta ze stacji. Tam problem opieki ujęto w planie pracy zespołu wychowawczego, a tym samym stał się on przedmiotem rozważań szkolnej organizacji ZMS i ZHP. Sprawy związane z pobytami uczniów na stacjach są też szczegółowo omawiane na zebraniach komisji wychowawców klas i rady pedagogicznej. Nie gdzie indziej, a właśnie w owym Technikum poczyniono pierwszy krok naprzód. Ograniczono samodzielny ruch uczniów na stacjach, wymagając przy jakiegokolwiek zmianie — decyzji rodziców. Dyrekcja szkoły podjęła się również nawiązania bliższych kontaktów z właścicielami stacji.

To chwałebne działanie jest jednocześnie dostatecznym potwierdzeniem mojej tezy, że ze stacjami nie jest najlepiej. Ale też i na tym stwierdzeniu nie można poprzestać. O czym sygnalizują rodzicom i wychowaw-

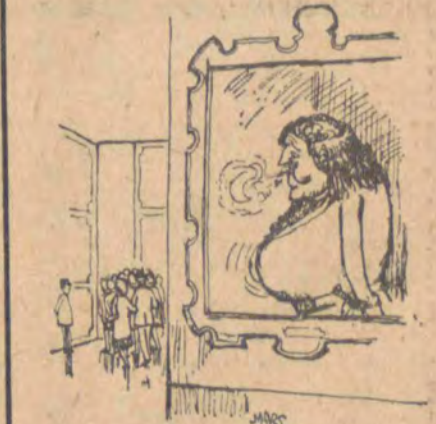
Francuzi dość szybko pojęli, że Polacy są ludźmi pracowitymi, słownymi, sumiennymi. Do pracy przyjmowano ich chętniej niż miejscowych. Ale mimo wszystko byli obcy i obcość tę chętnie im wytykano. Aż przyszła I wojna światowa, a z nią częścią zmiąna we wzajemnych stosunkach.

Tę najcięższą dla siebie próbę Polacy przeszli zwycięsko. Okazali się wspaniałymi bojownikami i towarzyskami broni. Niekiedy lepszymi żołnierzami Francji od rodowitych Francuzów. Ale nawet te dowody lojalności wobec drugiej ojczyzny nie usunęły ze wzajemnych stosunków barier niechęci, wznowionych przez wroga nam propagandę.

Trzeba było dopiero II wojny światowej, bohaterstwa 5.000 Polaków, uczestników Ruchu Oporu, zorganizowanych w czysto polskich oddziałach, około 5.000 Polaków, uczestników wspólnych polsko-francuskich oddziałów. I dalszych 5.000 rozproszonych w oddziałach francuskich, by wobec tak wielkich dowodów wartości musiała we wzajemnych stosunkach nastąpić odmiana. To zrodzone

FRANCJA — 73

w czas wojny zjednoczenie przetrwało do naszych czasów. Socjologowie nadali mu wspólne imię „czynu narodu polsko-francuskiego”. Ile trzeba było lat uporczywej, wspaniałej pracy, by to, co polskie, nasze cechy narodowe przed obcymi wybronić i uczynić z nich wartości godne wspólnego mianownika. Lecz siła moralna Polonii nie tylko własnymi czynami żyje. Czerpie z naszego państwowego skarbcza, z naszych społecznych i kul-



turalnych osiągnięć. Szczycąc się tym, pozycję swoją w społeczności francuskiej umacnia i czyni godną partnerstwa.

Polkie tradycje ludowe zintegrowały życie polsko-francuskich wiosek i miasteczek. Dziś uroczystości państwowe we Francji święci się tam polskimi tańcami, tańczonymi wspólnie przez młodzież polską i francuską w polskich strojach ludowych. Dzieci z mieszanek, choć nie znają polskiego, dumne są ze swego dziedzictwa i głośno je wszędzie po francusku podkreślają.

POLSKA JEST IM BLISKA

Tu i ówdzie daje jeszcze o sobie znać rozbiicie polityczne. Sikorszczyca atakują bez taktu i umiaru pilsudczyków, socjaliści — komunistów, chadecy — narodowców i tak dalej. Dawne zale i urazy żyją jak niegdyś, burza krew i dzielą, niestety. W życiu Polonii zabrakło w pewnym momencie idei scalającej, która by pozwoliła zwioltecz i umrzeć starym koncepcjom.

W Polsce tą ideą była konieczność materialnej i duchowej odbudowy kraju. Pod tym sztandarem wielkiej narodowej potrzeby zebrał się bez mała wszyscy. By tego dokonać, musieliśmy o tym, co nas dzieli, zapomnieć, a każde najmniejsze dobro, bez

Dalszy ciąg na str. 4

Listy do Redakcji

NIĘ PRZESADZAJMY!

W „Odgłosach”, ukazały się felietony Bogdy Majej, poświęcone naszej reprezentacji piłkarskiej, a szczególnie trenerowi Janowi Tomaszewskiemu. Ja, jak i moi przyjaciele są zgodni co do tego, że Bogda Majej nie ma racji, a nawet publikacja tego typu nie powinna mieć miejsca, bowiem są wyodrębnione i niemalże wyjątkiem w regule, wyjątkiem niezasadnym.

Nie wiem czym są podkretowane niepokój i obawa autorów felietonu, nie potrafili zrozumieć, dlaczego nie należy cieszyć się z sukcesu naszej drużyny i dlaczego zaleca nam się skromność. Autorka nie potrafiła czytelnie przekonać o tym, pisząc aż dwa artykuły, moim zdaniem bez ładu i składu. Nie znam się na szczególnej gry w piłkę nożną, niemniej z zainteresowaniem śledzę każde spotkanie na szczeblu międzynarodowym. Dla mnie radość spontaniczna Polaków w tym konkretnym przypadku jest tak jasna jak 2+2=4. Jestem przekonana o tym, że to nie dlatego, że jesteśmy Polakami cieszymy się z sukcesu, a dlatego, że jesteśmy ludźmi w pełni normalnymi.

Wszystkie pamiętamy fakty związane z Wojciechem Fortuną, Władysławem Komarem i jeszcze innymi sportowcami, nie tylko polskimi, ale wiemy też, że to jest sport, gdzie się raz wygrywa a równie przegrzywa. W sporcie są sukcesy i porażki, każdy normalny człowiek z sukcesu się cieszy, przy przegranej płacze, a nigdy odwrotnie.

Co do konkretów, to na szczęście kryterium oceny w sporcie jest wynik i na tej podstawie musimy twierdzić, że ta drużyna jest lepsza, która wygrywa, a więc nie Anglia lecz Polska, ponadto patriotyzm dyktuje taki pogląd w tym przypadku. Wyobrażam sobie zadwojenie Anglików po przeczytaniu artykułów pióra Bogdy Majej.

Mamy powód do radości. Nasi piłkarze, szczególnie Jan Tomaszewski, przynieśli sławę nie tylko polskiej piłce nożnej, co Polsce w ogóle. Te słowa poznał chyba cały świat i dotarło do wszystkich narodów. Właśnie to był powód do tego, aby Irena Dziedzić przedstawiła Jana Tomaszewskiego telewizjom, aby jego wrażenia były znane załogom pracy, aby poznali naszych piłkarzy ci, którzy nie interesują się sportem i meczu nie oglądali. Wszyscy powinni wiedzieć kto to jest Jan Tomaszewski.

Osobliwie cieszyłabym Bogdzie Majej sukcesu w dziennikarstwie tej miary, co odniósł Jan Tomaszewski w piłce nożnej. Przypuszczam, że zostaliby zaproszona do „Tele-Echa” i nie tylko. Nie sądzę, aby nie skorzystała z propozycji i spokojnie pisała artykuły. Przypuszczam, że byłaby wlecie niezadowolona z krytyki takiej, jaka miała miejsce ostatnio w „Odgłosach” na temat piłki. A w o- góle to postać kobiety redaktora zawsze mnie się kojarzy bardziej z modą, z propozycją przygotowania kolacji dla gości, ewentualnie z poradą w „Przyjaciółce”, a nigdy ze sportem i to piłką nożną. Chętniej czytam informacje wyrażone krytyką pisane przez redaktorów płci męskiej. Mają znacznie więcej do powiedzenia w tym zakresie.

Co do samego meczu Polska - Anglia z 17 października 1973 roku, choćby sukces taki nigdy miał się nie powtórzyć, nie widzę powodów, aby go przedstawić do radości i cieszyć się. Jestem pełna uznania dla całej drużyny, a szczególnie jej bramkarza. Mogą nasi reprezentanci być dumni jak lwy i chodzić z głową zadartą do samego nieba za to, co udało im się osiągnąć. Skromnym powinien być ten, kto nie osiągnął w życiu nic ponad przeciętność.

Bogdzie Majej życzę bardziej udanych felietonów.

WIESŁAWA JĘDRZEJCZAK
(Łódź)

W polemikach liczą się argumenty, a najczęściej używa się inwektyw. W liście mojej polemiki argumentów jest niewiele. Spróbuję na nie odpowiedzieć.

1. „Publikacje tego typu nie powinny mieć miejsca, są wyodrębnione i niemalże wyjątkiem w regule” — pisze Wiesława Jędrzejczak.

Niezapamiętam. Oszczepnie dla Pani fragment felietonu Józefa Prutkowskiego:

„Nie wiem, czy Czytelnicy pamiętają, że nasza reprezentacja wygrała ten mecz 1:1 i zakwalifikowała się na raz i z podniesieniem J. Prutkowskiego do pierwszej szesnastki świata”. I rzeczywiście: w parę dni po meczu na Wembley nasza jedynastka przegrała z niską notowanymi Irlandczykami.

2. „Na szczęście kryterium oceny w sporcie jest wynik i na tej podstawie musimy twierdzić, że ta drużyna jest lepsza, która wygrywa”.

Przypominam: wynik był remisowy. A Stefan Sieniarski nazajutrz po meczu pisał w największej warszawskiej gazecie: „Anglii byli w tym meczu dużo lepsi” Sieniarskiemu chyba trudno zarzucić, że nie zna się na piłce nożnej, a już tym bardziej trudno go podejrzewać, że jest kobietą.

3. „Był powód do tego, aby Irena Dziedzić przedstawiła Jana Tomaszewskiego telewizjom, aby jego wrażenia były znane załogom pracy”. Ponadto Wiesława Jędrzejczak powołuje się jeszcze na „patriotyzm”. Przy takich argumentach ręce opadają. Gdyby Wiesława Jędrzejczak nie podała nazwiska, mogłabym pomyśleć, że jest dyrektorem fabryki, bo użyła starego i wyswiechtanego już chwytu wielu dyrektorów, którzy zalogą zwykli straszyc dziennikarzy.

4. „De gustibus non disputandum” — o upodobaniu nie należy się spierać. Wiesława Jędrzejczak bardziej podobała się dziennikarce „płci męskiej”, a czyjaś niechęć do kobiet-dziennikarek. Naturalne. Zdrowe.

Nie nawoływałam do placzu, przestrzegałam przed hurra optymizmem, któremu zresztą uległa Wiesława Jędrzejczak. Nie chcę się powtarzać, ale minimalizm nikomu jeszcze nie wyszedł na dobre. Za życzenia serdecznie dziękuję!

BOGDA MAJEJ

Dalszy ciąg ze str. 1

ziemię, wydobywają sole, hodują bydło. Prawdziwi rycerze, władcy Sahary, mają w pogardzie wszelką pracę rąk. Wysocy, muskularni, z głową owiniętą niebieskim szeszem i twarzą zakrytą aż po oczy ciemnym lithamem, w swych płaszczach koloru indygo, spryskanych osoblwymi wrażeń. Nazywani są „ludźmi niebieskimi”. Niebieska, trochę tłusta farba ich „dokkali” przenika do ciała, którego nie myją nigdy (chyba piaskiem) i barwi skórę na fiołkowo, chroniąc jednocześnie od skutków wysuszenia powietrzem.

Ich cywilizacja pozostaje na etapie kamienia łupanego — opiera się całkowicie na transporcie soli poprzez pustynię i hodowli bydła. Ta ginąca tysiącletnia cywilizacja, która wolała na alarm, by ją uchwycić w formach, w jakich się zachowała. Tuaregowie podzielili się na klasy: wielkich feudalów czyli seniorów i podległych im lenników — wasali oraz czarnych niewolników. Wódz plemienia, szlachetnie urodzony rycerz amenokal, piastuje godność króla dziedzicznego i jest władcą absolutnym.

Dumni i niezależni władcy pustyni przenoszą wciąż swe obozowiska, błędząc niestrudzenie od pastwiska do pastwiska w poszukiwaniu okresowych rozkwitów traw i kwiatów, by wypaszać swe wielbłądy, bez których nie mogliby żyć.

Kiedy zapada wieczór, Tuareg przycumowuje do pala cugle swego wierzchowca i wchodzi do namiotu. Kładzie pod ścianą uprząż i worek, po czym buduje z trzech kamieni ognisko i rozpala przed namiotem ogień. Gdy zmrok zasnuwa cieniem pustynię, Tuareg przykucnięty przed ogniem pije aromatyczną herbatę, pozostając w tej pozycji nieruchomo przez wiele godzin.

TILUALIT KEL RELA

Przedstawicielkę Tuaregów — Tilualit Kel Relę poznałam w Algierze. Mieszkała niedaleko nas. Często spotykałam ją, kiedy śpieszyła na wykłady na uniwersytet. Dowiedziałam się, że jest studentką medycyny. Znajomi z kursu języków obcych, Wasyl Iwanow, prowadził na Uniwersytecie Algierskim lektorat języka rosyjskiego.

— Chcesz ją poznać? — zapytał widząc moje zainteresowanie młodą Targijką. — Nie protestuj.

Spotkałam się wkrótce wszyscy troje w kawiarni studenckiej na rue Michelet, naprzeciwko Uniwersytetu. Wymukła, o oczach koloru węgla, delikatnych rysach podkreślonych jeszcze bursztynową karnacją skóry, pełna wdzięku i swobody obejścia, Kel Relę wydawała się symbolem szlachetności starej rasy o odwiecznych tradycjach.

— To nie było łatwe dostać się na medycynę, ale upór, zapal, no!... kilka cudownych zbiegów okoliczności pomogły mi zdobyć upragnione miejsce

BŁĘKITNI RYCERZE PUSTYNI

na uczelni. Dziś czuję się już wyzwolona ze wspomnień przeszłości, ale z początku trudno mi się było przestawić na życie w nowych warunkach, sama wśród obcych...

Cała jej rodzina zginęła w zamieszkach, jakie miały miejsce na granicy republiki Mali w czasie wielkiego, krwawo stłumionego buntu Tuaregów przeciwko prawom malijskim. Kel Relę nie ma już dokąd wracać. Dla niej Tuaregowie przestali istnieć...

— Jak pięknie jest w moim kraju, tam, gdzie spędziłam dzieciństwo, w dolinie Azaak! — wykrzyknęła w pewnej chwili z zachwytem. — Niech pani koniecznie postara się tam pojechać. Zobaczyć pani, że mówię prawdę!

Kobiety tuareckie — jakże się różnią od pogardzanych przez mężczyzn kobiet arabskich, z którymi spotyka się teraz, w północnej Algierii! Wykształcone i niezależne, dumne i władcze to one są strażniczkami tradycji, przekazicielkami starej tuareckiej twórczości literackiej, absolutnymi paniami w namiocie, gdzie komenderują dziećmi i służbą. Targijki same wybierają sobie towarzysza życia, mogą w każdej chwili wypędzić go i zażądać rozwodu, gdy nie okaże się godnym. Mąż darzy żonę miłością i szacunkiem, radząc się jej we wszystkich ważniejszych sprawach. Odwrotnie niż Arabki — kobiety tuareckie występują z twarzą zawsze odświeżoną, podczas kiedy mężczyźni owilają szeszem głowę zasłaniając dół twarzy lithamem, którego nie zdejmują nigdy. Dziewczęta otrzymują wyższe niż chłopcy wykształcenie: oprócz nauki gotowania, botaniki saharijskiej, przedzenia wełny, wyprawiania skóry, stawiania namiotu, czesania mężczyzn (!) i kobiet — matka przekazuje córce umiejętność czytania i pisania w języku tamahaq, wyklada jej Koran i modlitwy, poezję i sztukę recytacji.

— Kiedy mężczyźni wracają z karawany — opowiadała Kel Relę — wioska odzyskuje swoje prawdziwe oblicze. Rodziny są nareszcie połączone. Dzieci nie posiadają się ze szczęścia. Przez szereg dni panuje nastrój radośnego podniecenia. Młodzi chłopcy i dziewczęta nie mogą się doczekać wie-

czornych spotkań na tradycyjnym ahalu.

— Słyszałam, że to obyczaj zachowany przez Tuaregów z pradawnych pogańskich obrządków libijskich. Jak to się odbywa?

— Ahal to rodzaj „wieczoru niespodzianek”, zebranie towarzyskie organizowane przez kobiety wolne w jednym z namiotów. Co wieczór w innym. Dziewczęta siedząc na dywanie ze skrzypkami w rękach, w otoczeniu zapatrzonych i zasluchanych młodzieńców, grają kolejno tęskne melodie, przepielając je recytacjami wierszy. Chłopcy nagradzają twory oklaskami i okrzykami yous-yous, śpiewają chórem. Nastrój staje się coraz bardziej swobodny, pieśni przerywane są wzbuchami śmiechu, żartami, komplementami pod adresem muzykantek. Chłopcy improwizują wiersze z ukrytymi aluzjami do wybranki nie ujawniając jej imienia — coś jakby upoetyczniona zgaduj-zgadula. Tylko jedna starsza osoba asystuje i przewodniczy zebraniu młodych, uspokaja zbyt hałaśliwych gości, łagodzi spory, nakłada kary na zaproszonych, którzy zapominają reguł grzeczności. Dziewczęta zapraszają wybrańców do spotkań i spacerów poza namiotem, z dala od świadków. Młoda Targijka nie musi zdawać sprawy ze swego postępowania nikomu, rodzicom ani ukochanemu.

Tuaregowie nie przechowują żadnej literatury pisanej, wszystkie ich utwory są przekazywane ustnie z pokolenia na pokolenie przez nieśmiertelny ahal. Tematem wierszy są zwykle czyny wojenne plemienia czy bohatera, brawura lub wytrzymalność dromadery, zawiedzona miłość, a także opisy przyrody saharijskiej: rzadkie krzewy, szczyty gór Hoggaru, woda ze źródeł i studni, gajele i szakale, słońce i gwiazdy. Przeniknięta duchem romantyzmu poezja przekształca jałową pustynię w rajski ogród pełen malowniczości i blasku.

— Czy mogłaby nam pani zadeklamować któryś z wierszy? — zwróciłam się z prośbą do Kel Relę.

— Powiem wiersz zakochanej bez nadziei dziewczyny.

EWA BEKIER

FRANCJA — 73

Dalszy ciąg ze str. 3

względem na etykietę, chronić od zmarnotrawienia. Pusty skarbiec należało wypełnić dobrymi czynami Polaków bez względu na ich polityczną przynależność.

Dzięki temu umarli różnice, a pozostały dokonania, które są teraz własnością całego narodu. We Francji zabrakło tej ideal scalającej, porządkującej życie codzienne Polaka. Pozostało natomiast wiele z tego, co dzieli, idee-potwórki jak ta: „do kogo należy Sikorski”, do sikorszczaków, dla których nadal jest symbolem wiążącym rozproszonych po świecie wyznawców. Zapominają oni, że zarówno w Polsce, jak i we Francji, Polacy żyją z tego, co dobrego stworzyli najwybitniejsi z nich. Że od zasobności tej wspólnej kasy zbiorowych i indywidualnych czynów zależy nasza siła i znaczenie w świecie. Że rozdzielanie tego kapitału na różne bractwa wzajemnej a-

doracji jest po prostu marnotrawstwem wspólnego dobra, i tego także, który pozostawił po sobie Sikorski.

Pan Paluszczak wyjechał z Polski do rodziców od dawna zamieszkałych we Francji w 1946 roku. Syn prostych ludzi z Kieleckiego, bez wykształcenia, bez zawodu przyjechał tutaj jedynie z ogromnym sercem i ambicją, z nadzieją, że w tej drugiej ojczyźnie będzie się mógł czegoś dorobić. Miał zaledwie 12 lat, ale bieda, okupacja przydały mu doświadczenia i wieku. Imal się każdej pracy nie palił, nie pił, pracował po 18 godzin na dobę. Mając lat 19 kupił rodzicom skromny domek. I od tej pory poszedł w świat. Zaczął pracować na siebie. Nie było mu łatwo, ale nigdy nie tracił wiary. Był pewny, że wcześniej czy później cel swój osiągnie. A była nim niezależność. Ożenił się z Bretonką, Francuzką,

z Północy, kobietą twardą, surową, dumną, ale podobną mu uporem i gospodarnością. Dziś państwo Paluszczakowie mają pod Paryżem trzy domy, otoczeni szacunkiem i zazdrością służą pomocą każdemu, kto jej potrzebuje. Zwłaszcza najstarsi mieszkańcy wioski, których dzieci osiadły w miastach, korzystają z niej chętnie i bardzo często.

Młodzi natomiast mają do nich żal, nie mogą zapomnieć dnia, kiedy przybyli do Moissons z dwiema tylko walizkami, a teraz należą do bogatszych. Ileż to Francuzów posprzedawało w tym czasie swoje domy, gospodarstwa, z właścicielami stało się lokatorami. A on, ten przybysz z Polski...

Trzeba było naprawić motocykl „Honda”. Byli z nim w paru wielkich garażach, nie naprawiono. Poradzono wysłać do Paryża. Wtedy przyjeżdża do Paluszczaka. Obejrzał, powiedział — jutro. Naprawił w niespełna dwie godziny. On wszystko potrafi. Każdą maszynę zreperuje, nie przesstraszy go żadna robota. Diabeł nie człowiek. Takimto do strach głośno zazdrości, bo nie wiadomo, kiedy go człowiek będzie potrzebował. Taka panuje o nim wśród sąsiadów opinia.

Pytam — jak to się stało? — Musiałem, Kiedy Francuzowi zepsuje się w pracy maszyna, czeka aż przyjdzie mechanik. A tymczasem normy diabli biorą. Ja nie mogłem sobie na takie marnotrawstwo pozwolić. U mnie nasza maszyna musiała zrobić, pracować ze mną, dla mnie, jak ja.

Kiedy go poznałem, przeżywał swój kolejny emigracyjny dramat. Intrygami zmuszono go do porzucenia stanowiska. „Polak nie może być ponad Francuzami — ani pracą, ani służbą dla Francji”. Przyjął to spokojnie, a żona z większą niż zwykle troską obchodziła potrzebujących pomocy. Na taki odwet mogą się zdobyć tylko ludzie wielcy sercem, to dzięki takim aktom Polonia zdobywała swoje dobre imię. Ale w takich chwilach potrzeba pomocy, czy bodaj pocieszenia. Szuka się go u swoich, przybyszów z Polski. I tej żaden Polak Polakowi nie odmówi. Albowiem tylko dzięki solidarności, wspólnej obronie nabytych pracą praw możliwe stało się harmonijne wspólnot obcowanie.

Dom państwa Paluszczaków urządzony gustownie, antykami, dowodzi, iż jego mieszkańcy prócz ciężkiej

Recytuje najpierw w tamahaq, potem w tłumaczeniu francuskim: „Nie chcę, by ujrzał moje lzy, ni wiedział, jak bardzo go Kocham, Lecz na ahalu drzę jak gazela i amzad wypada mi z rąk i Czekam — jak strzelec idzie tropem swej ofiary — On mnie odnajdzie w końcu. Lecz czemu nie zjawisz się w mym namiocie?”

Znalazłbyś pragnące cię ogrzać serce oo płonie dla ciebie jak płonie piasek w słońcu”.

W GOŚCINIE U TUAREGÓW

Kiedy w rok później wraz z przyjaciółmi udało mi się dotrzeć w okolice Hoggaru i zupełnie przypadkowo, dzięki nieprzewidzianej awarii samochodu, staliśmy się gośćmi jednego z koczujących plemion Tuaregów, wszystkie fragmenty opowiadania Tilualit jak żywe stanęły mi przed oczami. Wśród baśniowego zupełnie krajobrazu, na górskiej przełęczy rozpiętej pomiędzy czarnymi szczytami granitowych skał spiętrzonych w przedziwne kształty, stołów, kopuł, wulkanicznych stożków, kominów, iglic, rur i trapezów — wędrujący rycerze Sahary zatrzymali się na wielotygodniowy postój.

W imieniu plemienia przyjął nas sam wielki wódz obozowiska, Amenokal Saidu, zapraszając gościnnie do namiotu. Ani na chwilę nie zdjął z twarzy zastony, lekko ją tylko rozchylił pijąc herbatę. Zaproponował nam obejrzenie całego obejścia królewskiego i złożenia, zgodnie z obyczajem, „wizyty grzecznościowej” u każdego, namiot po namiocie. Po drodze pokazał swoje śpiacze, dwa wielkie otwory w ziemi przeznaczone do zapasów zboża. Nieco dalej ogrodzone plotem z żerdzi rozciągały się królewskie stajnie, w których wybrane najpiękniejsze ze stada dromadery — owce dumy wodza — są strzeżone i otoczone troskliwą opieką.

Namioty, które odwiedziłam, znacznie mniejsze od namiotu wodza, były rozpięte na sześciu drewnianych żerdziach. Prawa strona zawsze zarezerwowana dla mężczyzny, lewa — dla kobiety. Związane giętkie łóżko i reszta umeblowania złożona z worków różnych rozmiarów łatwych do zarzucenia na wielbłądy tworzą wyposażenie wnętrza. W namiocie mieszkają tylko rodzice i dzieci do lat 9. Starsze mają swój własny namiot.

Do późna w noc siedzi przy ognisku wypytując Amenokala o szczegóły ich koczowniczego życia, wyprawy w karawanach po sól, o nastawienie Tuaregów do pracy, jaka się pojawiła w nowo otwartych kopalniach ropy, do problemu kształcenia dzieci. Próbuje też dowiedzieć się czegoś o ahalu. Amenokal uśmiecha się tajemniczo, udaje, że nie rozumiał, zmienia temat rozmowy. Ile było tu barwnej legendy i co z niej zachowano do dziś? To wiadać nie przeznaczone dla oka i ucha cudzoziemskich gości.

EWA BEKIER

pracy wykrzesal z siebie prawie artystyczną wrażliwość na ład, czystość i porządek. Gdybym nie wiedział kto jest gospodarzem myślałbym, że zwiedzam dom znanego artysty.

Pani Renée, żona pana Paluszczaka, jest naprawdę dumna ze swego męża.

— Gdybym nie wyszła za mąż za Edwarda, znalazłabym sobie innego Polaka. A to nasza córka, Katarzyna. Ma 10 lat, ale o trzy lata wyprzedza w nauce swoje wiejskie rówieśniczki. Uczy się doskonale. Umie już po angielsku i niemiecku, tylko trochę po polsku. Ale to przez męża, to jego wina.

— Jak mogłem ja nauczyć po polsku, kiedy sam dobrze nie umiem. Mówię, rozumiem, ale to za mało, żeby kogoś nauczyć.

— To dlaczego dziecka nie wyszłeś do Polski?

— A do kogo?

— To wstyd, żebym ja, Francuzka, pamiętała o tym, a ty...

— No dobrze, dobrze, może w przyszłym roku...

— Od dwóch lat tak mówisz. Twoja córka powinna widzieć, poznać kraj ojca.

Byłem świadkiem tej sprzeczki i zapamiętałem każde jej słowo.

Zgola innymi problemami żyje rodzina pani Celi Szymczakowej z Grenoble. Urodzona w Niemczech nigdy Polski nie widziała. Ale po polsku mówi świetnie, w przeciwieństwie do syna Henryka, który ukończył wyższe studia w ekskluzywnym szkole w Grenoble i jest dyrektorem w fabryce swojego szkolnego kolegi. Wszystko w nim jakieś swojskie pomimo tego i bliskie. Choć to już trzecie pokolenie, nie, co polskie, nie jest mu obce, a przeszłość matki i najbliżej rodziny, zapisana na kartach historii francuskiego ruchu oporu pozwala im patrzeć w przyszłość bez obawy, jaka jeszcze niekiedy wyziera z oczu pana Paluszczaka.

Polska jest im bliska. Żyje w obyczaju, w sercach otwartych, w staropolskiej wspaniałej gościnności, w tyśiącu drobniagów, a pani Celi Szymczakowa i jej po francusku mówiące dzieci są równymi mnie patriotkami i z nie mniejszą ode mnie troską myślą o przyszłości Staroego Kraju.

KAROL OBIDNIAK



Fot. Archiwum

Dalszy ciąg ze str. 1

wężnikami, trawnikami, klombami bratków. Tramwaj linii 43 okrąża ze zgrzytem pętlę.

— Byliście już kiedyś w Lutomiarsku? — przerywa milczenie sekretarza. — Byłem przed rokiem. Na tym placu odbywało się święto dyszla. Wozy, konie, kocie lby, zapaskudzone nawozem.

— Ten plac zmienił się w ciągu jednego dnia. Pracowało 400 członków partii...

Kamocki wyjaśnia, że targi pozostały, ale przeniesione się na „dolek”. Widziałem to miejsce podczas wędrowki po Lutomiarsku: w schodzącej ku Nerowi dolinie, obok szyn tramwajowych leża kupa kamienia, pośród których sterczy tabliczka z napisem „rynek”. Ale oni to zaleją asfaltem, ogrodzą i handel będzie szedł pełną parą.

— W samym urzędzie gminnym też się coś robi. Na 15 października odda-

kobleta o gładko zaczesanych kasztanowych włosach. Z biblioteki powiatowej. Mówi, że w Szydłowie wali się i pali.

— Nie pali się, nie słychać syreny — śmieje się Bartczak.

No, tak, ale piec stoi blisko książek i może być pożar. A poza tym są kłopoty z umebłowaniem biblioteki i czytelnicy, bodajże w Kazimierzu. Firanki już kupiła, ale foteli nie może dostać. Tylko jeden sklep w Łodzi sprzedaje je na rachunek, ale tylko po pięć sztuk. Idiotycki przepis.

— A może by tak zadzwonić do naszej GS?

Dzwonią i dogadują się. GS zamówi 50 foteli do swojego sklepu i wtedy biblioteka będzie je mogła nabyć. Kultura to też ważna rzecz. Sprawa stanie na nogach, kiedy zbuduje się w Lutomiarsku Dom Kultury. Jest dokumentacja i lokalizacja, tylko środków brak.

Zastanawiam się, skąd Kamocki zna się na tych wszystkich sprawach i



Fot. W. Parys

SEKRETARZ NA WIŚNIOWEJ WUESCE

jemy do użytku gabinet metodyczny. Przecież we wzorcowej gminie przy Ośrodku Propagandy Partijnej prelekcje, odczyty itp. muszą odbywać się w należytych warunkach. Będzie więc nowe umebłowanie, telewizor, radio, magnetofon.

Dzwoni telefon. — Co, jesteście w tej fabryce po szlaku? I nie ma? Idźcie do kierownika i ducicie, ile wlezie! Musi być!

Kamockiemu przypomniało się, że wczoraj ludzie ze Stanisławowa skarżyli się, że żarówki na ulicy nie palą się. Dzwoni do naczelnika gminy, WACŁAWA WOJTCOWICZA. Naczelnik zjawia się po chwili i teraz pracuje już cały sztab gminny, bo dołącza też Bartczak. Partia kieruje, rząd rządzi.

— Elektronika sobie bimba, jakieś przetłaczniczki zainstalowali na słupach, to nawet dzieciak podejdzie i włączy, albo wyłączy.

— Myśmy już wysłali pismo w tej sprawie — tłumaczy Wójtcowicz.

— Jak nie zareagują, to tego dyrektora weźmiemy tutaj na osobistą rozmowę. Zadzwonić też w sprawie tej szlaki.

Naczelnik dzwoni. Ustawia tych od szlaki.

— Co jest, do cholery — krzyczy w słuchawkę — wariatów z nas robicie?! Musimy jakoś ratować drogi, nie? Już siódmy dzień posyłamy ciagniki, tracimy czas, a wy komu innemu odstepujecie tę szlakę.

Przy okazji mówią o innej sprawie. To targowisko już by było gotowe, ale nie mogą doprosić się spychacza.

Podczas tej rozmowy weszła młoda

wszędzie potrafi jakoś zaradzić. Chyba stąd, że był wśród ludzi. Pracował jako tkacz ręczny w Konstantynowskich Zakładach Przemysłu Welnianego. Kończył roczne kursy, potem Technikum Ekonomiczne. Był sekretarzem KZ PZPR, instruktorem w KP. 17 lat w aparacie partyjnym. Teraz, w gminie, ma 292 partyjniaków, podczas jego sekretarzowania przyjęto 19 kandydatów, głównie ludzi pracujących w rolnictwie. Dobrze sobie poradził ze składkami, bo sekretarzy POP nie odrywa zbędnie od pracy, wydając im znaczki na miesiąc w KG PZPR.

Dochodzi dziesiąta, kiedy do pokoju wpada młody człowiek z kaskiem w ręku.

— Wy z czym, towarzyszu Książek? — Ja z katarrem, z nosa mi leci.

— Załóżcie sobie osłony przy motorze, tak jak ja!

— Ja nogi owijam celofanem, też nie przepuszcza powietrza.

Książek kataru nabawił się w zimnym mieszkaniu. Stolarz robi mu drzwi, ale nie wiadomo, kiedy skończy. Kamocki kieruje sprawę do naczelnika. Książekowi trzeba pomóc, jest nauczycielem w Kazimierzu, a dojeżdża z tego cholernie odległego Mianowa.

— No, teraz czas na śniadanie — mówi sekretarz — bo rano nie mogę jeść. Na pierwsze śniadanie mam zawyżczaj... „Głos Robotniczy”.

W pokoiku rozchodzi się woń herbaty. Kamocki wsuwa mi w rękę grubą pajdę razową z masłem, sam też pałaszuje z apetytem.

— Jak żeśmy raz nie chcieli pracować w niedzielę — rzuca zniecierpliwiony — to było takie lanie, że krew do sufitu tryskała. I chleba też się wtedy uprażało. Dostawałem taki jeden dług bochenek na tydzień. Mierzyłem po kawałku centymetrem, odkrawałem i tak zjadłem ten chleb za jednym razem... Kradło się więc otręby i piekło psacki. A jak raz zdechła świnią na czerwonce i właściciel kazał ją zakopać, tośmy wykopali dół, zasypali, a świnię zaciągnęli wieczorem do izby. Przez całą noc piekliśmy tę świnię, obżeraliśmy się za wszystkie czasy, no i nikt jakoś nie zachorował...

Przez pięć lat pracował w niemieckim folwarku, wywieziony w głąb Rzeszy już w 1940 roku. To by wyjaśniało skąd on, urodzony przecież w robotniczej rodzinie, zna się na rolnictwie. A trzeba się znać, gdyż w gminie 10.111 ha użytków rolnych, 51,2 proc. ludzi utrzymuje się z rolnictwa. Wiele kłopotliwych, trudnych spraw, wiele ludzkich bolączek. Wprawdzie skończyły się już pytania na temat obowiązkowych dostaw, zakupu węgla, ubezpieczenia dla rolników, ale rodzą się inne. Ludzie pytają na zebraniach, przychodzą do gminy. Sporo spraw jest drobnych, ale jakże uciążliwych.

Kiedy dwie kobiety przychodzą i proszą o pomoc dla synów, Kamocki pyta:

— Co takiego się stało?

— Ano, chłopaki podziobali się żdziebko na zabawie i siedzą!

— To co, wy myślicie, że ja będę chuligaństwo popierać?

Ale trzeba pomóc ludziom biednym, załatwić umorzenie podatku; tej kobiecie z Charbic Dolnych przydzielono niewłaściwą łąkę, to też trzeba załatwić. Łąki — ważny problem. Dużo gruntów nad Nerem, można by więc zwiększyć ilość paszy, podnieść hodowlę. Przekonać rolników, że jak się ma 2 ha łąki, to nie wolno trzymać tylko dwóch krów. Po co siano sprzedawać komu innemu?...

Na zebraniach walczy się sprawy kółek rolniczych, żeby kółka więcej usług świadczyły dla rolnictwa a nie dla przemysłu. I żeby było lepsze za-

patrzenie w pleczywo, mięso, żeby nie brakowało części zamiennych.

Plan inwestycji winien być dostosowany do ludzkich potrzeb. W Zdziechowcu założyli oświetlenie według planu i teraz żarówki oświetlają drzewka, a nie drogę. Po diabla takie oświetlenie?

Stara gospodyni oddała gospodarce państwu. Ziemia leży ugiorem, a kobieta nie ma z czego żyć, czekając trzy lata na rentę. Kolosowski z Babic też oddał ziemię państwu, uprawia ją sąsiad, ale budynki zajmuje Kolosowski. Teraz szuka na nie kupca.

— Kolosowski nie powinien szukać tego kupca — mówi Kamocki. — Należałoby ziemię wraz z budynkami przekazać od razu jakiemuś młodemu małżeństwu, a w ogóle to skrócić ten czas oczekiwania na rentę. Żeby budynki były wykorzystane i by ziemia nie leżała ugiorem. Myślę nad tym, żeby zbudować w gminie dom reńcisty dla rolników zdających państwu gospodarkę.

Zbliża się zima i nowy kłopot z dowozem dzieci do szkół zbiorczych. POM musi zrobić specjalną przyczepę do przewozu dzieci.

— Dyrektorko — dzwoni Kamocki do dyr. STANISŁAWA NOWACKIEGO z podstawówki w Lutomiarsku. — Jak tam z tymi rowerami?

Nowacki wyjaśnia, że wszystko w porządku. Wydział Oświaty zafundował dla dzieci mieszkających daleko bezpłatne rowery, których już setkę wydano.

Dochodzi południe, do urzędu gminnego ciągną ludzie. Jest specjalne zebranie, poświęcone 700-leciu Lutomiarska, które będzie obchodzone w przyszłym roku. Wszyscy zastanawiają się, jakby zmobilizować ludność do czynów społecznych. Przede wszystkim zadbać o estetykę. Uporządkować park, postawić ławeczki, puszkę na śmieci.

Wychodzimy na rynek. Ludzie kłaniają się, wszyscy znają sekretarza. Jeden z mieszkańców podchodzi i mówi:

— Panie sekretarzu, tam pod sklepem jest hydrant. Woda się leje, ludzie wchodzi do sklepu i brudzą podłogę.

No cóż, trzeba by doprowadzić wodę do wszystkich domów, ale to sprawa dalszej przyszłości.

— Cieszy to, że ludzie, i to w większości bezpartyjni, mają do nas zaufanie. Trzeba dobrze ich przyjąć, wszystko dokładnie wytłumaczyć, czasem nawet wzruszyć. Jestem zadowolony z tego, że mogę komuś pomóc. Ale kiedy wracam do domu, kładę się zmęczony do łóżka, to myślę, że zrobiłem wiele, ale jeszcze za mało...

Zwiększył się obszar gminy, wzrosły obowiązki sekretarza. Praca niewymiarowa. Rano przyszła przewodnicząca KGW, zapraszając w niedzielę na spotkanie z oficerami LWP. Dzisiaj o 17 też będzie takie spotkanie. I taś w kółko. W świątek, piątek, wciąż roboty w terenie. Jest trochę czasu na czytanie, dokształcanie się, czasem wypad z żoną do kina.

— Nie życzę sobie stu lat życia — śmieje się Kamocki, — bo człowiek powinien tyle żyć, ile zechce, ale chciałbym być zdrowy i pracować z pożytkiem dla ludzi.

Czy tylko? Kamocki jest już dziadkiem, ma trzech wnuków i wnuczkę. Dwaj synowie poszli w świat, została najmłodsza córka, kończąca podstawówkę. Chciałby chociaż ją zatrzymać w domu, posłać do Technikum Ekonomicznego. No i od czasu do czasu pobawić się z wnuczkami, potrzymać ich na kolanach...

Nad Lutomiarskiem wisi ołowiane niebo, wśród pożółkłych koron drzew krząca wrony. Smutno, cicho, tramwaj ze zgrzytem okrąża pętlę i zjeżdża w dół, mijając zapadłe w ziemię chałupki i odrapane kamieniczki. Ten obraz niedługo zniknie, bo do Lutomiarska przychodzą nowe dni...

RYSZARD BINKOWSKI

POLSKA KSIĄŻKA O NIEKRASOWIE

Badania nad polsko-rosyjskimi powiązaniem literackimi zyskują coraz większe znaczenie, a wkład nauki polskiej w tę dziedzinę zwiększa się z każdym rokiem. Nie wyklucza to jednak istnienia pewnych luk, które dotyczą niekiedy zjawisk szczególnej wagi. Należy do nich zagadnienie recepcji w Polsce jednego z największych poetów rosyjskich Mikołaja Niekrasowa.

Zrozumiałe jest więc zainteresowanie pierwszą obszerną rozprawą Jana Orłowskiego „Niekrasow w Polsce. (Lata 1856—1914)”, przedstawiającą stosunek Polaków i polskiej krytyki literackiej do twórczości Niekrasowa oraz dzieje tłumaczenia jego utworów na język polski. Rozważania autora dotyczą okresu ponad pięćdziesięciu lat — epoki historycznie zamkniętej cezura pierwszej wojny światowej.

O Niekrasowie pisano u nas stosunkowo niewiele, tłumaczyli go za to poeci tej miary, co Syrokomla, Władysław Belza czy Leonard Sowiński — że wspomnę tylko przedstawicieli wieku XIX. J. Orłowski poświęca im wiele uwagi — ale nie

tylko im. Nadzwyczaj interesujące jest np. przypomnienie postaci rewolucjonisty i poety Bronisława Szwarcego, wraz z pierwszą w literaturze naukowej całościową charakterystyką jego dorobku jako tłumacza Niekrasowa.

Wartość książki nie ogranicza się wyłącznie do przedstawionego w niej materiału historycznoliterackiego. Skłania do uogólnień szerszych. Tak np. wnioski i spostrzeżenia autora dotyczące tłumaczeń Niekrasowa wzbogacają podstawowe zagadnienia teorii przekładu, takie jak odwrócenie lub wypaczenie stylu czy wymowy ideologicznej oryginału, przyswajanie obcojęzycznych form wersyfikacyjnych i szereg innych. Znajdą tu również niemało cennych informacji historycy literatury nie zajmujący się specjalnie poezją Niekrasowa.

Jan Orłowski „Niekrasow w Polsce. (Lata 1856—1914)” Zakład Narodowy im. Ossolińskich 1972, str. 131, cena 22 zł.

ZGR



Ten straszny, przyszły świat (III)

Zanim Jurij Gagarin poszybował w przestrzeń kosmiczną, człowiek rozpoczął podbój Kosmosu w swej wyobraźni, dając tego dowody na kartach powieści fantastyczno-naukowych. Zaczął podróżować w czasie. A wszystko tylko po to, aby choć w wyobraźni odpowiedzieć sobie na pytanie: jak będzie? Co nas czeka?

Czy taka odpowiedź jest możliwa? I na ile możemy przewidzieć przyszłość?

Kiedy dziesięć lat temu Stanisław Lem wydawał „Summa Technologiae”, tego typu książek nie było wiele. Dziś jest ich mnóstwo. Futurologia stała się modą. Badaniem przyszłości zajmują się ludzie wielu dyscyplin naukowych.

ZŁUDNY BLASK FUTUROLOGII

Wielość publikacji futurologicznych wcale nie dowodzi ich prawdziwości. Ale to, że futurologi mylą się, nie przeczy potrzebie zajmowania się przyszłością. Futurologia zrodziła się z rozkwitu nauki, jaki towarzyszył zamaganiom ludzkości w latach czterdziestych naszego stulecia. Miała być doradcą polityków, ale stała się ich pocieszycielem. Amerykański futurolog Herman Kahn aprobował wietnamską ingerencję USA, ale nie potrafił stworzyć żadnej koncepcji, która byłaby pomocna w rozwiązywaniu tego konfliktu.

Tenże sam Herman Kahn opublikował swego czasu prognozę dla świata na lata 1970-1980. Była to prognoza optymistyczna, chociaż Herman Kahn startował jako katastrofista, rysując przed czytelnikami obraz totalnej zagłady. W swojej prognozie na lata 1970-1980 Kahn przewiduje zgromadzenie wielkich zapasów żywności. I oto mamy połowę lat siedemdziesiątych i komunikat Światowej

systemie telekomunikacji, połączonym w jedną całość, który miał ułatwić życie człowiekowi, a w końcu, nierozważnie doprowadzony do wielkich rozmiarów, zapanował nad Homo Sapiens.

Technika stworzona przez człowieka i nie poddana w dostatecznym stopniu kontroli zagraża swemu twórcy. A przede wszystkim technika wojenna. David I. Mason w opowiadaniu „Urlop” opisuje gigantyczną wojnę, która toczy się gdzieś na Ziemi i kieruje się swoimi prawami. Czas tej wojny inaczej liczy się niż czas pokoju. „H” otrzymał urlop, wrócił do rodziny, bawił na urlopie parę lat, nim go ponownie powołano. Wracając na wojnę, obliczył, że „znajdzie się w bunkrze najpóźniej w dwadzieścia dwie minuty od chwili, gdy go opuścił”. Ale nie to było najważniejsze. Jadąc z ogromną szybkością do bunkra, w którym czekała go niechybna śmierć, uświadomił sobie nagłe:

„Nikt nigdy nie widział Wroga. Nikt nie wiedział, jak i kiedy wybuchła wojna. Informacja i porozumienie się były tu niezwykle utrudnione. Nikt naprawdę nie wie-

nemu typowi żywego organizmu, metalowego, jak ona sama.

„Ale jastrząb zdążył już odkryć, że istnieje również inne rodzaje żywych organizmów, które należy mordować.”

Niebezpieczeństwo grozi człowiekowi również w inny sposób — mówią niektórzy autorzy „science fiction”. Sam może stać się robotem. Taki przypadek opisuje Frederik Pohl w opowiadaniu „Monstrum”.

„Jaka piękna — pomyślał Dandish i — jaka bezbronna. Na jej szyi sterowała plastikowa taśma identyfikacyjna. Poza tym nie miała na sobie nic, gdyż dopiero co opuściła kapsułę transportową.”

Dziesięć już lat mknął w Kosmos statek wiozący 700 zasobników z kolonistami, zanurzonymi w ciekłym helu. Od czasu do czasu Dandish ożywał jeden z pojemników i patrzył na Silvie. „Czuł narastające podniecenie. Była bierna i bezradna”. Odrobina seksu w Kosmosie też nie zawadziła. Ale Dandish tylko na nią patrzył. Woląta go, aby się pokazał. Bezskutecznie.

„Jeśli mnie zabijesz — mówiła — zamknij cię. Jeżeli mnie nie zabijesz, powiem im wszystko, jak wyglądamy, i też cię zamkną.”

Mówił ci o moim wujku. Teraz jego ciało jest gdzieś tam na cennej stronie Merkurego, a jego mózg kieruje urządzeniami nawigacyjnymi. Uważasz, może, że to nie takie złe. Niestety, wujek Henry tego nie lubi. Nie ma żadnego towarzysza (...). poza tym mówi, że stale boją go przedwojnowe śmieci. Może naturalnie schrzanił robotę, ale przenosił go wówczas, gdzieś indziej, gdzie będzie jeszcze gorzej. Jedynie wlec go może zrobić, to zacinając zęby i znoś to wszystko. Dziewięćdziesiąt lat! Mincło dopiero szczęście.”

— Pęd razy więcej niż wszystkie poprzednie partie — mówi wyliczając transporter. — Obawiam się, że przy takim szalonym tempie nie wytrzymają nawet tygodnia.

— Trzymam sakki o dwie butelki — wesoło uśmiecha się sympatycznie chłopiec w wojskowym mundurze. — Połączą normalnie dwadzieścia dni. Hipnoza to wielka rzecz. (...)

— Pan nieco przecenia możliwości elektrohipnozy — mówi kobieta obnażając w uśmiechu ostre zęby wampira. — Potężne promieniowanie pola może tylko nakazać rytm pracy i określić pewien ogólny kierunek działania. Ale podstawową sprawą jest odpowiednie psychiczne zaprogramowanie. Imitacja ucieczki, rzekome niebezpieczeństwo — wszystko to stworzyło u nich poczucie wolności zdobytej za wysoką cenę. Trudno przewidzieć, jakie kolosalne rezerwy organizmu mogą wyzwolić uczucia wyższego rzędu.”

„Spy Story czyli historia szpiegowska Roberta Sheckleya jest — jak sama nazwa wskazuje — kosmiczną satyrą na powszechną manię szpiegowania. Bohater tego opowiadania cierpił z tego powodu, że nie posiadał... dobrze wyszkolonego szpiega. Postanowił wyemigrować w Kosmos, ale tu wynika trudność. Okazało się, że Kosmos jest podzielony na sfery Amerykańską, Brytyjską, Radziecką, Francuską, Meksykańską itd. Pojechał więc do Kosmosu Amerykańskiego i okazało się, że planetę, którą zajął szybko załudnił... szpiegzy przysłani, aby go pilnować. Ale w czasie korekt stref Kosmosu wynikło, że planeta ta znajduje się w strefie piczyjczy i że jej pierwszy mieszkaniec nabrał do niej autonomicznych praw. I wtedy wynika trudność.

„Cały mój lud składa się z byłych szpiegów rządowych. Zdawałoby się więc, że łatwo mi przyjdzie utworzyć własny rząd. Tak jednak nie jest... Oni zupełnie nie nadają się do współpracy. Jestem władcą absolutnym na planecie farmerów, mie-

terów. Ale Lije Baley miał też umyślanie w sypialni, co było już wielkim wyróżnieniem. System społeczny Nowego Jorku z owej dalekiej przyszłości opierał się na ścisłym podziale hierarchicznym. Lije Baley pamiętał, że jego ojciec — fizyk atomowy — za spowodowanie wypadku w fabryce został zdegradowany w społecznej hierarchii aż do samych jej nizin i on — urzędnik policyjny — obdarzony wcale nie najwyższymi przywilejami, bał się takiego samego upadku, jak bał się wówczas każdy inny mieszkaniec Ziemi.

Jedynym wyjściem dla Ziemi była wówczas dalsza kolonizacja Poziemskich Światów. Już raz ludzkość skolonizowała inne planety i teraz Kosmic — potomkowie ludzi — powrócili na Ziemię, aby pomóc jej w rozwiązywaniu demograficznych kłopotów. Trochę to przypomina historię Ameryki, którą też kiedyś kolonizowali Europejczycy i dziś Amerykanie — potomkowie dawnych kolonizatorów — powrócili do Europy, aby „pomagać” jej w rozwiązywaniu kłopotów. Europejczycy niechętnie patrzyli na tę pomoc, tak jak w powieści Asimova Ziemiańskie patrzy niechętnie na interwencję Kosmitów.

Autorzy niektórych utworów „science fiction” wydają się sądzić, że gwałtowny rozwój techniki zmusi społeczeństwa do stworzenia takiego systemu społecznego, który zamiast rozwijać ludzkie umiejętności, będzie je ograniczał. Wstrząsające pod tym względem jest opowiadanie Hebra Slesara pt. „Egzamin”. Kończy się ono telefonem do rodziców Dicka.

— Tu Komisja Rządowa do spraw Oświaty. Pański syn, Richard M. Jordan, numer klasyfikacyjny 600/115 zakończył egzamin. Z żalem musimy poinformować pana, wskaźnik inteligencji pańskiego syna przekroczył dopuszczalną wielkość, jaką określa punkt 5 paragrafu 84 Nowego Kodeksu. (...)

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

NIE BÓJMY SIĘ CZARNEGO LUDA!

Organizacji Żywności o całkowitym wyczerpaniu zapasów żywności. Futurologowie nie potrafili też przewidzieć kryzysu paliwowego, jaki ogarnął aktualnie niektóre kraje Europy Zachodniej i USA. Futurologia stawia hipotezy, rysuje prognozy. Bardziej tu liczą się autorytety niż metody badawcze. Bawi bardziej rozkosz kreowania przyszłości niż sprawdzania hipotez i prognoz. Ale ani niezgodność prognoz z późniejszymi faktami, ani krytyka znawców nie jest w stanie zahamować rozwoju futurologii. Kiedy Stanisław Lem pisał przedmowę do pierwszego wydania „Fantastyki i futurologii”, a był to maj 1969 roku, to dziękując za pomoc wymieniał siedem osób. W trzy lata później spis ten uzupełnił czterema dalszymi nazwiskami oraz nazwami kilku instytucji, zaznaczając, że wymienia tylko niektórych.

Jeśli więc futurologia niezbyt pomaga w poznawaniu przyszłości, to w znacznym stopniu inspiruje pisarzy uprawiających „science fiction”. Człowiek zawsze marzył o poznaniu przyszłości. Literatura fantastyczno-naukowa pozwalała w części marzenie to spełnić, zakładając zupełną swobodę w pomysłowości. I tworząc i czytelnik doskonale bawił się „zaglądając” w przyszłość. Ani jednego, ani drugiego do niczego to nie zobowiązuje, a liczy się tu zarówno pomysłowość, jak i oryginalność. Trwa cytacja, kto wymyślił jeszcze bardziej dziwny i straszny przyszły świat.

TECHNICZNE ZAGROZENIE

Dlaczego ten przyszły świat ma być straszny i na zagraża człowiekowi?

Groźba pierwsza — to żywiołowy, niekontrolowany rozwój techniki, która albo bezpośrednio zapanuje nad człowiekiem, albo zmusi do takiej organizacji świata, w której człowiek będzie całkowicie od techniki zależny.

Jak do tej pory technika nam służy. Ale co będzie dalej — pytają twórcy „science fiction” — kiedy będziemy budowali coraz więcej „mądrych maszyn” i czy one nie zechcą kogoś dnia zapanować nad nami?

Arthur C. Clarke wskazuje na jaki moment. Jego opowiadanie „Halo, kto mówi?” tak się zaczyna: „Dziesięć pięćdziesiąt milionów ludzi w tym samym momencie podniosło słuchawkę telefonu, by przez parę sekund w zdumieniu lub z irytacją trzymać ją przy uchu...”

Abonentci telefonów na całym świecie zakleli, mruknęli: „Pewnie omyłka w numerze” — i odłożyli słuchawkę. Opowiadanie to kończy się ostatnim komunikatem BBC: „Urządzenia na satelitach nie reagują na rozkazy wysyłane z Ziemi.”

Urządzenia telekomunikacyjne zapanowały nad światem. Powstała mechaniczna świadomość zawarta w świadomym

dział, co dzieje się z czasem, gdy zbliżyć się do Granicy lub gdy ją przekroczyć. A może konceleracja staje się tam nieskończonością i za Granicą nie ma nic? A może wszystkie pociski domniemanego Wroga są ich własnymi pociskami, które w jakis sposób wracają? Może Wójna zaczęła się od tego, że jakiś spokojny badacz rzucił lekkomyślnie kamieniem na północ, a kamień wrócił i go uderzył. Może w takim razie Wroga w ogóle nie ma?”

Pomysłowość człowieka jest nieograniczona — mówią autorzy „science fiction” — i z tego mogą wynikać dla ludzkości zupełnie nieoczekiwane a groźne konsekwencje. Przede wszystkim nieograniczona jest pomysłowość pisarzy, a rywalizacja w tej dziedzinie prowadzi zarówno do katastroficznych wizji, jak i rzeczy zabawnych.

ROBOTY PRZECIWI LUDZIOM

Ludzie od dawna marzyli o stworzeniu „mechanicznego człowieka”, który byłby im pomocnikiem i wyrobnikiem. Najpierw powołał go do życia w legendach, a później pokazał w filmie. Ale czy to Golem czy Frankenstein, a nawet „twory natury” Godzilla i King Kong — zawsze w końcu obracali się przeciw człowiekowi. Czyżby człowiek sięgał w marzeniach poza granicę swoich możliwości? A przecież trudno sobie wyobrazić przyszłość bez coraz większej ilości automatycznych urządzeń, które będą coraz skuteczniej zastępowały i wyręczały człowieka. Dla autorów powieści i opowiadań fantastyczno-naukowych pamięć o Golemie i Frankensteinie stanowi doskonały bodziec do rozwijania pomysłowości w przekazywaniu zagrożonej przez roboty ludzkości.

Robert Sheekley w opowiadaniu „Ptaki-czujniki” pokazał przykład takiego właśnie zagrożenia. Ludzie stworzyli mechaniczne ptaki, którym wmontowano specjalne układy, pozwalające zapobiegać zbrodni. Miała nastąpić dla ludzi złota era. Wszelkie zło miało zniknąć z powierzchni Planety. A tymczasem...

Ptaki posiadały układy uczenia się, wymieniały między sobą informacje na temat reakcji ludzi, którzy chcą uczynić krzywdę innym. Miały jasno postawiony cel — ochraniać przyszłą ofiarę gwałtu za wszelką cenę. Były mechanicznymi, które nie znały subtelności świata ludzi. Ochroniły bandytę skazanego na krzesło elektryczne. Zabity starca, który chciał pacnąć... muchę. Uniemożliwiły rybakom połowić, uniemożliwiły lekarzom dokonywanie operacji. I wtedy ludzie skonstruowali jastrzębie, które mordowały ptaki-czujniki.

„Wysoko na niebie jastrząb krążył nad ptakiem. Wiele nauczyła się w ciągu paru dni ta śmiertelność maszyna. Jedyną jej funkcją było zabijanie. Teraz cała jej działalność skierowana była przeciwko pew-

nie i tak groźba nie skutkowała. Dandish nie pokazywał się. Uruchomił urządzenia usypiające. — Przeklety głupiec! — wykrzyknęła, ale Dandish nie odpowiedział. Maską usypiająca opuściła się na jej twarz. — Poczekał chwilę — błagała — wcale nie powiedziałam, że nie...”

Dandish nie mógł wyjść, nie mógł się jej pokazać. „Myślał o jej wujku Henrym prowadzącym pogiębiarkę wzdłuż wybrzeży południowego Atlantyku. On też mógł się tam znaleźć. Ucieszył się, kiedy zamiast tego miał okazję odbyć wyrok pilotując statek gwiazdny.”

W tym wypadku człowiek zamienił człowieka w robotę, wykorzystując jego mózg do kierowania maszyną. Robot jednak nie może zagrozić człowiekowi nawet na kartach „science fiction”. Isaac Asimov wymyślił prawa robotyki. Pierwsze prawo robotyki głosi, że robot nie może wyrządzić człowiekowi nic złego. I tak należy konstruować roboty, aby w chwili konfliktu z człowiekiem były skłonne uciec przed nim niż wyrządzić cokolwiek złego swemu twórcy.

Isaac Asimov jest jednym z najpoczytniejszych autorów amerykańskich, uprawiających „science fiction”. Jest wykładowcą biochemii na wydziale medycznym uniwersytetu w Bostonie i w ten sposób łączy pracę naukową z pracą pisarza. W 1958 roku wyszedł poza krąg „science fiction” i napisał powieść kryminalną. Na cztery lata wcześniej napisał powieść łączącą oba te gatunki. „Pozytronowy detektyw” jest „kryminałem”, którego akcja dzieje się w Nowym Jorku dalekiej przyszłości.

SKRAJNOŚCI

Nie dajmy się zwodzić. „Science fiction” nie zawsze ostrzega nas przed przyszłym, straszniejszym światem. Bardzo często, przenosząc akcję w przyszłość, wyolbrzymiając przesłanki, pokazuje nam, jaką jeszcze straszniejszą jest nasza współczesność. Iłja Warszawski opisując w „Ucieczce” metody, jakimi przenoszono więźniów z kopalni do plantacji bawełny na Miednie, pokazuje tylko do skrajności doprowadzone metody faszystów.

„Plantacje bawełny. Nikt o nich nie wie nie dokładnie, wyjąwszy fakt, że stamtąd się nie wraca. Chodzą plotki, że w gorącym, pozbawionym wilgoci klimacie ciało ludzkie zamienia się w suchy chrust — świetne paliwo dla pieców krematoryjnych.”

Aby więc więźniów przenieść z kopalni do plantacji bawełny, stwarza się pozory ucieczki. Wmawia się im, że praca u farmerów.

„Pod oszkloną kapułą stary opalony mężczyzna patrzy na wskazówkę automatycznej wagi.

czarzy, pasterzy i hodowców bydła. Nie grozi mi śmierć głodowa. Ale nie o to chodzi. Problem w tym, jak właściwie do cholery mam rządzić?”

Przeleć nikt z tych ludzi nie będzie szpiegował dla mnie. Do skrajności dochodzą nie tylko ci, którzy uwielokrotniając nasze absurdy, pokazują współczesność w krzywym zwierciadle przyszłych, a bliżej nie określonych czasów. Przyszłość jest dla nich tylko kostiumem, w którym można skarykaturować współczesność. Dotyczy to również techniki. Pomysłowość święci tu triumfy, ale czasami budzi groźbę.

Brian W. Aldiss „kazał” Grahamowi Scarfe zbudować tridioramę — sztuczny świat na białce stołu bilardowego. I ludziom obserwować rozwój tego świata przez wizjery. Miało to być eksperymentalne odtworzenie losów ludzkości, od prapoczątku do współczesności. Frederik Pohl w „Tunelu pod światem” wykorzystuje moment gigantycznego wybuchu w mieście, aby odwrócić go na sto lat i na przykładzie świadomości mieszkańców miasta, zaklętych w miniatury robotach, prowadzić reklamowe doświadczenia, badając skuteczność różnych metod reklamy.

— Biedny, mały Burckhardt... — zawodził głosnik, podczas, gdy echo dudniło w ogromnej oclianej laboratorium... — To musiał być dla ciebie szok, kiedy odkryłeś, że żyjesz w mieście, zbudowanym na stole...”

CZY BĘDZIEMY ZNORMALIZOWANI?

Jak sobie autorzy „science fiction” wyobrażają nasz przyszły świat? I to nie tyle pod względem poziomu techniki, bo ten wydaje się być „nieograniczony” i dzień się wtedy będą cuda, o których nigdy nie śniło się filozofom. Będą to jednak cuda techniczne. A co w dziedzinie stosunków społecznych?

W „Pozytronowym detektywie”, Isaaca Asimova, którego akcja dzieje się w Nowym Jorku dalekiej przyszłości, na świecie są już tylko gigantyczne miasta, których mieszkańcy nie oglądają ani słońca, ani zachodu Słońca, nie wdychają wonnego powietrza pól i lasów. Żyją w gigantycznych konstrukcjach ze stali i mas plastycznych, przenoszą się z miejsca na miejsce stale poruszającymi się pasami komunikacyjnymi, żywią się w stołówkach, gdzie każdy ma swoje miejsce i wyznaczony czas na posiłek. Są posegregowani, poklasyfikowani i świadomi konsekwencji, jakie wynikają z naruszenia przysługujących im praw i przywilejów.

Detektyw Lije Baley ma rangę C-5, która pozwala mu zarówno korzystać z „prywatki” — umywalni dla całego sektora, gdzie tylko niektórzy mieli swoje prywatne kabiny, a także korzystać z górnych pięter szybkościowych transpor-

— Proszę zdecydować — brzęczał dalej głos w słuchawce — czy życzysz sobie państwo odebrać ciało, czy mamy sami załatwić pogrzeb?”

Ale wcale nie musimy wybiegać daleko w przyszłość, aby dojść do wniosku, że i dziś zorganizowane społeczeństwa bronią się przed występującymi ponad przeciętność jednostkami, bojąc się dezorganizacji i naruszenia ustanowionego porządku. Jeśli więc w wielu — przede wszystkim zachodnich — państwach z kręgu „science fiction” spotykamy przerażający obraz stosunków przyszłych społeczeństw, to przede wszystkim dlatego, że wroczę czerpią oni z otaczającej ich rzeczywistości.

Wyobrażenie sobie przyszłego społeczeństwa i praw jakimi będzie się ono rządziło, nie jest rzeczą łatwą. Dlatego być może, u tych, którzy chcieliby pokazać przyszłe społeczeństwo bezkonfliktowe, obraz przyszłości jest nie tyle rajski i obiecujący, co nijaki. Ale to też tylko potwierdza tę prawdę, że odebrać się od współczesności jest nie tyle trudne, co niemożliwe.

ZAKOŃCZENIE

Dziecko straszone stałe Czarnym Ludem pewnego dnia zwątpi w niego i przestaje się bać. Nie bójmy się więc i my Czarnego Luda — „science fiction” i traktujmy to, jako interesującą zabawę współczesności. Z tego nie wynika jednak wcale wniosek, że przewidywanie przyszłości jest niemożliwe. Tu przypomnę Juliusza Verne i jego fantastyczne powieści, które stały się rzeczywistością.

Przewidywanie przyszłości, fantazjowanie na temat przyszłych czasów było zawsze interesującym zajęciem współczesnych na przestrzeni wieków. W naszych czasach badanie przyszłości staje się po trosze nauką, chociaż niedoskonałą.

„Futurologia — pisał niedawno Stanisław Lem w „Kulturze” — to namiastka, „crash program”, doradza mobilizacja, przewidywanie mające posłużyć nam niedostatkowi wiedzy; prognozy są bowiem... względem wiedzy komplementarne: ten, kto wie bardzo wiele, może tym samym sprostać każdej przyszłości, a temu, kto prawie nie wie, niemal każda prognoza zabrzmi katastroficznie.”

Wyjściem — stały i systematyczny rozwój wszystkich dziedzin nauki. Ale to nie interesuje ani futurologów, ani — tym bardziej — „science fiction”. Eksplozja piśmiennictwa o przyszłości ogarnie niewątpliwie i nas. Bawmy się więc pisaniem i czytaniem o przyszłości, bo jest to zabawa pouczająca, przyjemna, z której coś zawsze może wynikać. Poza tym ukazuje ona nas w krzywym zwierciadle, a czasem warto przyjrzeć się i własnej karykaturze, tym bardziej, że jest to karykatura Homo Sapiens.

wydawnictwo łódzkie

Dziś i jutro

Z dyrektorem MARKIEM GARLICKIM i redaktorem naczelnym BARBARĄ LIS z Wydawnictwa Łódzkiego — rozmawia JAN OKOPIEN.

— W swoim artykule zamieszczonym w „Ogłoszeniach” zwracałem uwagę na brak dostatecznie jasno sformułowanego profilu Wydawnictwa Łódzkiego, na pewną chwytliwość jego polityki wydawniczej, która usiłowała zatrzeć naraz zbyt wiele spraw, pomieścić zbyt wiele wątków. Czy nowe kierownictwo łódzkiej oficyny zamierza wprowadzić jakieś zmiany w tym zakresie?

— Pragnęlibyśmy mówić nie o szczegółach realizacji planu roku 1973, bo ukształtowany on został znacznie wcześniej, ale o perspektywach Wydawnictwa, o jego założeniach programowych na dalszą drogę. Nowe kierownictwo dąży do sformułowania i zapewnienia realizacji programu, obliczonego przynajmniej na 3 lata. W celu wypracowania jego zębów przewidujemy spotkania i dyskusje ze środowiskiem literackim, a także nawiązanie ściślejszych kontaktów i współpracę z łódzkim środowiskiem naukowym, przede wszystkim z historykami, socjologami i polonistami.

Łączy się to ściśle ze zwiększeniem — przynajmniej w sferze publikacji społeczno-politycznych i popularno-naukowych, bo literaturę piękną zaprogramować jest znacznie trudniej — inicjatywności Wydawnictwa, rozwinięciem na znacznie szerszą niż dotychczas skalę jego funkcji inspiratorskich. Nie bez znaczenia będzie tu powołanie przy łódzkiej oficynie nowego organu — Rady Wydawniczej, złożonej z przedstawicieli środowisk literackich i naukowych, która spełniać będzie rolę doradcy Wydawnictwa. Stworzy ona z jednej strony szerszą platformę do wymiany opinii i poglądów na tematy programowe, z drugiej zaś — stanowić będzie ogniwem łączącym Wydawnictwo ze środowiskami twórczymi i naukowymi.

Za główny „kierunek uderzenia” uważa Wydawnictwo ściśle sprężenie tego, co się wydaje, z tym, jak się wydaje. Chodzi tu zarówno o podniesienie wymogów w stosunku do jakości przyjmowanych maszynopisów, o wyeliminowanie z produkcji Wydawnictwa przeciętności na rzecz pozycji ambitnych i interesujących, jak i o wzbogacenie zakresu tematycznego wydawanych książek, o przejście od prac przyznających się w kierunku syntez, publikacji znaczących, ważnych nie tylko dla Łodzi, lecz liczących się również w ogólnopolskim dorobku wydawniczym. Jeśli np. mamy ambicję przygotowania syntetycznej historii kultury łódzkiej, to pragniemy, aby znalazła ona szerszy, ogólnokrajowy rezonans. Podobnie ma się rzecz z projektowaną książką traktującą o kulturze robotniczej Łodzi.

Nie mniej ważną rzeczą jest podniesienie poziomu szaty graficznej i podwyższenie standardu edytorstwa wydawanych przez nas publikacji. Wydawnictwo uzyskało zapewnienie ze strony sekcji grafików Łódzkiego Oddziału Związku Polskich Artystów Plastyków, że jest gotowa uczestniczyć w okresowych ocenach szaty zewnętrznej książek WL. W szczególności chcemy zadbać o formę liczbnych w dorobku naszej oficyny wspomnianych robotników, działaczy społecznych — zarówno o ich formę literacką jak i uatrakcyjnienie ich „wystroju” graficznego i edytorskiego.

— Jaką konkretną treścią zamierza Wydawnictwo wypełnić te ogólne, ambitne zarzysowane ramy?

— Wiele spodziewamy się po współpracy z ośrodkami naukowymi. Tak więc pierwszym efektem porozumienia z Instytutem Sociologii Pracy Uniwersytetu Łódzkiego jest podjęcie, pod kierunkiem doc. Dziecielskiej, prac nad przygotowaniem publikacji zbiorowej na temat sytuacji kobiety pracującej w Polsce, ze szczególnym uwzględnieniem Łodzi, gdzie jak wiadomo odsetek zatrudnionych kobiet jest najwyższy. Duże nadzieje wiąże Wydawnictwo z pracami prowadzonymi w zakresie socjologii kultury przez silny łódzki ośrodek socjologiczny, kierowany przez prof. A. Kłoskowską. Być może zrodzone w wyniku tej współpracy publikacje będą nie tylko interesującą lekturą i udokumentowaniem procesów zachodzących w dziedzinie świadomości społecznej i zainteresowań kulturowych, ale staną się również ważnym źródłem wniosków dla polityki kulturalnej. W najbliższym czasie przeprowadzone zostaną rozmowy ze środowiskiem historyków w celu wspólnego wypracowania długofalowego programu — być może ujętego w serie — z dziedzin historii, przede wszystkim ożywienie historii Łodzi.

Wydawnictwo dąży do ułożenia pewnych zasad współpracy z Instytutem Filologii Polskiej Uniwersytetu Łódzkiego. Chodzi mianowicie o podwyższenie kryteriów stosowanych wobec cennej składinad serii „Z Dziejów Kultury i Literatury”. Seria ta, która może i powinna zyskać szerszego niż łódzki czytelnika, otrzyma wyższą rangę, nie będzie rozdrabniać się na rzeczy wąskie, przyznające, koncentrując uwagę na pozycjach w swoim rodzaju reprezentatywnych. W ramach serii wyszły już pra-

ce J. Rzymowskiego „Erynie historii i człowieka” (o pisarstwie Leona Gomołickiego) i Violety Krawczyk „Poeta autentyczny” (o Stanisławie Czerniku), na początku roku 1974 ukazuje się praca monograficzna Doroty Chrościelewskiej „W świecie twardych ludzi”, poświęcona wybitnej działaczce społecznej i publicystce kulturalnej okresu międzywojennego, Antoninie Sokolickiej. Projektuje się wydanie pracy o Tadeuszu Micińskim, pracy zbiorowej na temat grupy „a.r.”, publikacji traktującej o czasopiśmie literackim międzywojennej Łodzi.

Poważny nurt w pracy łódzkiej oficyny stanowić będzie cykl publikacji o-



Barbara Lis i Marek Garlicki

bejmujących dzieje kultury łódzkiej. Zebrano już materiały dotyczące tej problematyki do r. 1914. Zamierzeniem naszym jest poprowadzenie, wspólnie ze środowiskiem historyków i historyków kultury, prac zbierających do zgromadzenia dokumentacji do części drugiej, która obejmie lata 1914-1918, włącznie z obywatelami, którzy w tym czasie, wzbijając się daleko w przyszłość, warto również zbadać niezmiernie bogate i interesujące „tradycje łódzkiej plastyki, które dotąd nie znalazły „odzwierciedlenia w formie książkowej”.

Jeżeli chodzi o literaturę społeczno-polityczną, to nadal za temat wiodący uważamy postępowe, rewolucyjne tradycje Łodzi oraz okręgu łódzkiego i kieleckiego. W związku z zbliżającą się 70 rocznicą rewolucji 1905 roku chcielibyśmy wydać z jakąś większą, bardziej reprezentatywną pozycją, traktującą o problemie nie tylko od strony partii politycznych i walk barykadowych. Blaby to książka poświęcona w szerokim rozumieniu temu słowu Łódź i społeczeństwo łódzkie dobie rewolucji.

Jeśli chodzi o okres wojny i okupacji, pragniemy skoncentrować się na pracach poświęconych lewicowemu nurtowi walki o niepodległość i ludową ojczyznę, dziełom łódzkiej organizacji PPR. W szczególności sposób preferowane będą wspomnienia robotników walczących z okupantem, zarówno jeśli idzie o walkę zbrojną, jak i walkę ekonomiczną.

Zbliża się rocznica XXX-lecia Polskiej Ludowej. Na tę okazję przygotowujemy publikację pracy zbiorowej „Ruch robotniczy w województwie łódzkim w latach 1945-1956”. Rozważamy także wspólnie z Wydziałem Kultury Rady Narodowej m. Łodzi, Łódzkim Oddziałem ZLP i Wojewódzką Radą Związków Zawodowych sprawę skompletowania materiałów wspomnieniowych z okresu walki o utrwalenie władzy ludowej i pierwszych lat budownictwa socjalistycznego na terenie naszego miasta. Otwarty konkurs mógłby przynieść w tym wypadku ciekawy materiał dokumentacyjny, który będzie można następnie wykorzystać w publikacji książkowej.

Łódź jest niezwykle uboga w wydawnictwa o charakterze albumowym. Wyszło ich dotąd niewiele i nie zawsze były to publikacje udane. Wydawnictwo czuje się zobowiązane do wypełnienia tej luki. Tak więc interesującą, bibliofilską pozycją, przygotowaną z dużą pieczołowitością, będzie związany z obchodzoną niedawno 550-leciem Łodzi album dokumentów „Łódź 1423-1973”. W stadium realizacji jest album fotograficzny Łódź — dzieło dwóch łódzkich fotografików: Waltera i Madayskiego. Kontynuowany jest cykl autorskich albumów W. Kondka: po „Ullicy Piotrkowskiej” ukazują się „Łódzkie pałace” i „Fabryki łódzkie”, tworząc pewną z góry zakomponowaną całość. W fazie wstępnych prac znajduje się album ikonograficzny o Łodzi, w którym poprzez stare fotografie i stare dokumenty ukazanoby historię tego miasta oraz album poświęcony rewolucyjnym dzieciom Łodzi.

— Czy to wyeksploatowanie działań pozabeletrystycznych świadczyłoby o przesunięciu się wewnętrznym proporcji planu, w którym tradycyjnie dominowała dotąd literatura piękna?

— Potraktowaliśmy tak obszerne wątki tematyczne, o których była mowa, ponieważ — jak już podkreślił — literaturę tego typu można w sposób

bardziej konkretnie planować i inspirować. Pragniemy jednak podkreślić, że niezmienną podstawą, na której opiera się działalność Wydawnictwa Łódzkiego, pozostaje literatura piękna. Świadcza o tym liczby. Poezja, proza i esastyka wypełnią około 70 procent planu, cała reszta mieścić się będzie w ramach pozostałych 30 procent.

Zdecydowanie preferujemy przy tym współczesną, zaangażowaną powieść, choć musimy stwierdzić, że o wiele częściej spotykamy się z propozycjami opublikowania zbiorów opowiadań. I w tym miejscu następuje dysproporcja między zgłaszanymi inicjatywami autorskimi a zapotrzebowaniem rynku czytelnego. W każdym razie przyrzekamy, że niezależnie od względów formalnej kolejności, mimo trudności papierowych i poligraficznych — dobra powieść będzie miała zawsze w naszej oficynie zielone światło.

Jednocześnie zamierzamy podnieść próg debiutu literackiego, pragniemy także podwyższyć wymagania stawiane drugiej książce danego autora. Publikować będziemy przede wszystkim pisarzy środowiska łódzkiego i kieleckiego, ale nie chcemy rezygnować z twórców spoza Łodzi. Mamy w planach utwory J. Afanasiewa, H. Auderskiej, L. M. Bartelskiej, D. Bienkowskiej, S. Grodzkiej, Z. Nienackiego, M. Warneńskiej, A. Markowej i innych.

Z ciekawszych propozycji z zakresu literatury pięknej, które ukazały się w najbliższym czasie, chcemy zasygnalizować powieść W. Rymkiewicza „Wajemniczenie”, „Młyn na granicy”, W. Ogrodzińskiego — utwór podejmujący problemy ludności autochtonicznej na Warmii i Mazurach, powieści W. Karzewskiej „Niecierpliwosć serca” i T. Papiera „Ciche jeziora”, czy utrzymany w stylizacji groteski utwór J. Afanasiewa „Świat do góry nogami”. Interesującą zapowiada się propozycja Z. Nienackiego o robotycznym tytule „Pamiętnik mazurowski”. Jest to swego rodzaju suma przemyśleń człowieka, który z dużego środowiska piśmiennego wywedrował na Mazury i tu kształtuje się w nim zupełnie nowe spojrzenie na sprawy twórczości i sprawy życia.

W tekach Wydawnictwa zebrało się sporo pozycji z zakresu krytyki literackiej i esastyki. Stanowią one normalne zaplecze literatury pięknej, powinny w dalszym ciągu towarzyszyć twórczości poetyckiej i prozatorskiej i wspierać ją. Chodzi tylko o zachowanie właściwych proporcji, a także o poziom i jakość tych publikacji, o to, aby były to książki, które wnoszą jakiś załóg nowej myśli krytycznej i oceniającej. Dział ten przyniesie w roku przyszłym między innymi tom esejów M. Piechała „Poezja i coś więcej”, sięgający do rodowodu łódzkiej tradycji literackich z „Meteorem” włącznie, część druga dobrze przyjętych „Świętokrzyskich szlaków literackich” S. Mijasa (obejma okres międzywojennego XX-lecia), monografie M. Warneńskiej o twórczości Juliana Tuwima, zatytułowaną „Warsztat czarodzieja”.

Wydawnictwo pragnie również utrzymać w orbitie swojego działania literaturę faktu, współpracować ze środowiskiem dziennikarzy i reportażyistów,

pod warunkiem jednakże, że oferowane mu tomy nie będą „remanentowymi” zbiorami starych artykułów, że ich trzon stanowił będzie współczesny reportaż, mający ambicję rejestrowania i interpretowania zjawisk otaczającego świata. Zjawisk niekoniecznie dziejących się w samej Łodzi, bowiem i na teren regionu łódzkiego, np. w niewielkim Belchatowie, wchodzą nowe, wielkie inwestycje, które przeobrażają krajobraz i psychikę ludzką.

— A co z tak trafnie, jak mi się wydaje, zapoczątkowaną specjalizacją przekładową łódzkiej oficyny?

— Jak wiadomo, specjalizujemy się przede wszystkim w literaturze białoruskiej, czemu sprzyja i dobre zaplecze w postaci kadry tłumaczy, i nawiązane już dawniej przyjazne kontakty z twórcami Białorusi. Oficyna nasza nie rezygnuje jednak z penetrowania literatury radzieckiej, w tym krajów nadbałtyckich, o czym świadczyć mogą takie pozycje, awizowane w planie na rok 1974, jak poetycka, pięknie napisana powieść J. Skopa o pracy geologów w południowej Syberii „Tej zimy zaplakało jezioro”, czy wybór opowiadań współczesnych pisarzy litewskich. W zakresie literatury białoruskiej, w której Wydawnictwo ma ambicję odgrywania roli wiodącej, ukazała się „Poezje wybrane” M. Bahdanowicza, wybór wierszy Maksima Tanki, nowela białoruskie w przekładzie J. Huszczy, utwór A. Adamowicza „Opowieść białoruska”.

— Przytanie interesuje się wątkiem Waszej działalności, który umownie określimy jako „sekrety eleganckich pań”. Czy wobec tak poważnych zadań i obowiązków, o których Państwo mówiliście, nie umrze o śmierce naturalna?

— Wątek ten bynajmniej nie ulegnie zanikowi. W tym cyklu wysokonakładowych publikacji, frapujących w lekturze, a jednocześnie niosących z sobą pewną sumę wiedzy w zakresie tradycji i obyczajów, ukazała się książka H. Muszyńskiej-Hoffmannowej „Joanna, moja światłość”, poświęcona dziełom żywota Joanny Grudzińskiej, księżnej łowickiej i żony w ks. Konstantego, też autorki „Pudeł Moustache” (o paniach z kregu króla Stanisława Augusta), J. Dackiewicz „Salony pań francuskich i salony pań polskich”, Z. Kuchowicz, którego „Wizerunki niepospolitych niewiast” zostaną w przyszłym roku wznowione, przygotowuje książkę biograficzną o Barbarze Radziwiłłównie.

Chcielibyśmy dobrze realizować dwie zasady: podnosić poziom wydawanych utworów, a jednocześnie dbać o rentowność. Dążymy do poprawienia warunków pracy w samym Wydawnictwie. Nasza obecna sytuacja lokalowa — oddzielenie redakcji merytorycznych od działów pomocniczych — stanowi anomalię, która nie wpływa na tok pracy. Będziemy starali się o usprawnienie organizacji pracy, ażeby w sposób prawidłowy ułożyć stabilne warunki realizacji programu, który sobie nakreśliłmy. Leży nam na sercu nawiązanie skuteczniejszej współpracy z „Domem Książki”, bowiem w naszym odczuciu ogniwem to „odstaje” w całości naszej działalności i zamówienia sieci księgarskiej często rozciągają się z rzeczywistym zapotrzebowaniem społecznym.

— Wrócę do punktu wyjścia: czy ostatecznie nastąpi jednak modyfikacja profilu Wydawnictwa Łódzkiego?

— Wydawnictwo zachowuje swój dotychczasowy profil, wznagając jedynie troskę o zaostrenie wymogów, jeśli chodzi o wartości literackie, poznawcze i stronę edytorską ogłaszanych publikacji, sterując wyraźnie w stronę ambitnych, unikających przyznanstwa książek, penetrujących sprawy Łodzi i jej kultury, takich książek, które by odpowiadały nie tylko zainteresowaniom lokalnym, ale mogły wejść do programu ogólnowydawniczego i dorobku kulturalnego całego kraju.

Jestemy jednak tylko wydawcami i nie my piszemy książki. Możemy inicjować, starać się o stworzenie właściwego klimatu do harmonijnej współpracy, ale naszymi partnerami, najważniejszymi w tym dziele, są środowiska twórcze i naukowe. Od nich też zależy powodzenie wszystkich naszych planów.

Zainteresowanie książką beletrystyczną i nie tylko beletrystyczną, często nawet trudną, w porównaniu z czasami przedwojennymi — a nakłady w tym wypadku stanowią dowód wystarczający — wzrosło w sposób budzący zdumienie. Zostawmy jednak porównania z czasami coraz bardziej się oddalającymi. Powinno się iść dalej!

— Odtąd nie jest to — w szerszym jakimś zakresie — czytelnictwo pogłębione, intelektualnie aktywne.

— I w tym wypadku także sięgnę po przykłady pierwsze z brzegu — bardzo różne, ale narzucające się, chyba dostatecznie wymowne.

Wybór listów Bolesława Prusa, starannie wydany w 5000 egz., został w swoim czasie przeceniony. Kosztował 40 zł, potem można było go kupić za 10 zł.

Wybór esejów o Conradzie — świetnych, pochodzących m.in. spod takich piór, jak Orzeszkowa, Żeromskiego, Kolaczewskiego, Dąbrowskiej, Ujejskiego — ukazał się w nakładzie 3000 egz., jego cena z 32 zł „spadła” do 5 zł.

Tom, zawierający wybór z korespondencji Stendhala, również bardzo przyzwyciężony, ukazał się, co prawda w nakładzie 10 000 egz., można go było kupić zamiast za 45 zł, za 10 zł.

Cena trzech tomów „Pamiętników dekabrystów”, wydanych zaledwie w 3000 egz., „spadła” z 75 do 20 zł.

Można wymienić Niemcewicza „Pamiętniki czasów moich”. Można wymienić wiele pozycji... Wciąż jeszcze tylko wspomnę o innego rodzaju autorze. Iluż to ludzi w kraju codziennie słucha Szopena, z nabożeństwem chodzi do filharmonii w różnych miastach, odwiedza Żelazowa Wola, jednak — odwieża Zdzisława Wale, jedyną — odwieża Chopiną”, wyd. w 1955 roku, w nakładzie 10 000 egz., również spotkała w swoim czasie przecenę.

A są to nakłady, których właściwie nie powinno starczyć dla samych tylko bibliotek, wypożyczalniowych tyśmiąt swoich bywałych dzieł Conrada, Prusa, Stendhala.

A są to książki, które sprzyjają pogłębieniu wiedzy o historii, o autorach powieści, o kompozytorze —

JAN HUSZCZA KSIĄŻKOWE NIEDOLE

przede wszystkim zaś o samej ich twórczości: książki, które takim czy innym wydarzeniem historycznym nadają intymny, ludzki wymiar, czynią je żywym bliskim.

I w jakim w dodatku stosunku ilościowym są nakłady niektórych ze wspomnianych tutaj książek do nakładów utworów tych pisarzy? Nawet nie trzeba obliczać, by stwierdzić, że w znikomym, a jednak...

Nad złożonymi przyczynami tego stanu rzeczy niech się zastanawiają inni, przede wszystkim badacze tych spraw. Nie tkwią one najpewniej w samych tyłkach odbiorców, choć może właśnie w dużym stopniu w nich!

Ponieważ fascynuje mnie nasz wiek XIX, kupiłem — przecenione — „Pamiętniki dekabrystów”, licząc na to, iż spotkam się w nich również z Polakami i Polakami.

Oczywiście, nie zawiódłem się, nie przeczuwając jednak, co z tej lektury wyniknie. Jak się widać w jakimś okresie przeszłości, chce się wiedzieć o nim poszerzyć. Zaczęłam czytać, robić notatki, przynosić książki z łódzkich większych bibliotek. I w końcu napisałam „Obrázky z kajdan” — opowieść, w której spotkałem ze sobą — za Baikalom uczestnika powstania listopadowego — zesłańca, jego żonę i zesłańca, dekabrystę z żoną.

Interesowała mnie także rola poezji, która przecież nie cieszy się z rozmaitych względów aż taką popularnością, na jaką w bardziej świadomych kręgach czytelników zasługuje. Któż choćby ze szkoły nie zna słynnego wiersza Puszkina z 1836 roku w przekładzie Tuwima „Pismo na Sybir”? Przypomnę dwie zwrotki...

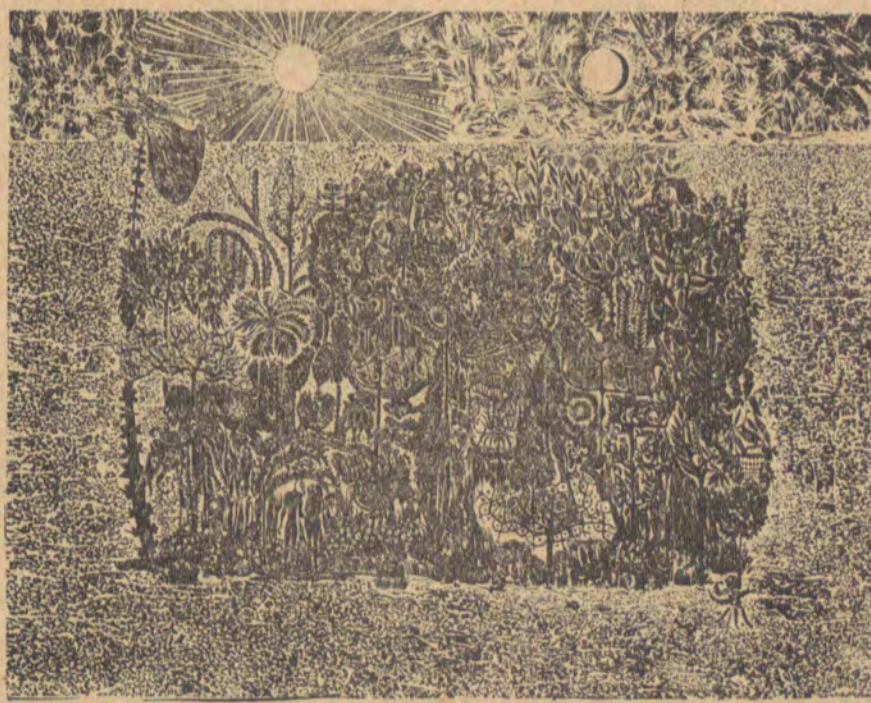
W głębinie syberyjskich rud
Wytwarzacie dumni, niezawisi!
Nie zginie wasz bolesny trud
I lot wysokich waszych myśli...

... Miłości światło i przyjaźni
Dojdzie was przez ponurą noc,
Jak do katorżnej waszej kajdani
Mój wolny dziś dochodzi głos...

Jak wspomina Maria Wolkońska, prototyp Tatjana z „Onieгина”, która dobrowolnie, pokonując różne przeszkody, udala się na Sybir, by dzielić los swój z mężem — katorżnikiem: „... chciał mi powierzyć swe „Pismo na Sybir”, abym je przekazała uwielbionym, wysłałam jednak tej samej nocy, dał je więc Aleksandrze Murawiewowej... Było to w styczniu 1837 roku. Wiersz, dzięki rolicznym odpisom, stał się znany, umiano go na pamięć.

Wiersz więc spotkał się z żywym odzewem, nawet z poetycką odpowiedzią katorżnika, księcia Odojewskiego

Dalszy ciąg na str. 10



Henryk Płociennik — autocynkografia

JERZY WILMAŃSKI

Ciągle w podróży...

(FRAGMENT POWIEŚCI)



JÓZEF GIELNIAK — Improwizacja, elukubracja fantazyjna i krotkochwilna (litoryt)

Usiadł jak zwykle w ostatnim rzędzie tej dużej sali z czterema kolumnami pośrodku. Przewodniczący zebrał co chwile sprawdził dionię, czy kartka z nazwiskami (podyktowano mu je na innym zebraniu jeszcze przed południem), czy kartka z nazwiskami tkwi w kieszeni.

Usiadł, jak zwykle, w ostatnim rzędzie i wiedział, że będzie jak zwykle... Przymknął oczy.

Skąd się u mnie bierze to marzenie o ucieczce? Rozumiem tych, którzy na to miasto zostali skazani, mają tu jakieś zakamarki wspomnień, ale koczniakami tkwią gdzie indziej, ale ja? Odkąd moja pamięć zaczęła cokolwiek rejestrować — pamiętam to miasto, zawsze to miasto... Kości bruk, kiedy szliśmy za trumną zładka, a potem to przedmieście, szary świt i prawie czarne sylwetki ulanów, którzy się zaplatali, zagubili we wrzesniowej mgłę... Pamiętam jeszcze te wysokie drewniane kładki nad ulicą, biegnącą przez getto, pamiętam

chalały, czarne brody, farnulki, kolczaste gwiazdy na czarnych marynarkach. Pierwszą fotografię zrobiono mi na Placu Wolności w firmie Kubasiewicz — nie, to dopiero po wojnie była tam firma Kubasiewicz, robiłem tam zdjęcie do matery... Pierwszą fotografię zrobiono mi na Placu Wolności w jakiejś obecnej firmie, ale przecież to jednak był ten plac, chociaż wówczas nazywał się inaczej i nie było na środku obelisku z figurką. Ojciec pracował u Johna, matka w firmie Otto Schultz, niedawno mój syn odnalazł tamtą kartkę, strasznie się dziwił, patrząc na pokrętną szwabachę pieczęci.

Otto Schultz miał zięcia, który sędział w Murnau i wnuka, który w 1942 roku rzucał kamieniami w okna dziadkowej fabryki i wołał: „Grossfater, jak tata wrócił, to wam wszystkim pokaże...” Ale tata nie wrócił, bo najpierw nie chciał korzystać z protekcji teścia, a potem, kiedy już teść

musiał rzucić fabrykę, to tak się wszystko skomplikowało, że tata nie chciał wracać, nigdy nie wrócił, tylko wyjechał do Ameryki i nawet nie wiem, czy wnuk starego Schulza zobaczył go kiedykolwiek.

Czy jest drugie miasto, gdzie takie pokrętne historie zdarzały się w każdej kamienicy?

Ojciec pracował u Johna, jeździł tym samym tramwajem, którym ja jeżdżę od tylu lat — czy ta trasa może być dla mnie tylko komunikacyjnym szlakiem? Skąd więc to marzenie o ucieczce? Nie ucieknę — złapie mnie kontroler Radziłowski, który wtedy był motorniczym, a dziś jest na rencie, ale złapie mnie, jeśli z fałszywym biletem będę chciał stąd uciec...

Kółko się jakoś zamknęło, ojciec pracował u Johna z facetem, w którego córce kochałem się krótko, lecz intensywnie piętnaście lat później.

Wszyscy wokół podnosili ręce — rozumiał, że niedługo koniec. Wyciągnął rękę do góry.

Milczysz. Nawet sobie nie wyobrażasz, jaka jest we mnie ogromna nad toбою przewaga. Właśnie w tym, że tu, w prywatnej rozmowie ty możesz tylko milczeć, nie potrafisz mi zaprzeczyć. Jaka jest w tobie małość i bezsilność, że teraz tylko milczysz — choć zza stołu pokrytego zielonym sukniem ty zawsze masz rację, ty mówisz i twoje jest ostatnie słowo. Ale ty dobrze wiesz, że to tylko ten stół jest twoją siłą. Rozumiesz — głupi stół, z czterema stołowymi nogami, które są przysłowiowo głupie...

Stąd cię tylko na żalotne skomlenie: „stary, wiesz jak jest”. Wiem, och, jak dobrze wiem. To ty właśnie nie wiesz nic, jesteś niemy i wyheblowany, jak stołowa noga.

Tak więc wiedział już, że wyrok został wydany, że procesu nie będzie, albo s' odbył w cztery oczy w jakimś zamkniętym gabinecie, albo w knajpie „Świat” przy butelce żytniówki i sałatce śledziowej.

Jedna para oczu mogła należeć do Sredniaka, albo do Byłego Przyjaciela — druga para oczu należała także do Sredniaka, ale innego, z innych pleców i wymiarów. Procesu zatem nie było, ale wyrok czuł już wokół siebie, w spojrzeńcach, szeptach...

A potem wszystko się znów pokomplikowało: obrus na stoliku w knajpie „Świat” (a może knajpa nazywała się „Europa”) zmienił się w szachownicę, rozrywano tam jakieś partie, zmieniano układy pionków i skoczków, ba, ruszano nawet samego króla w myśl reguł rozgrywania. Gra szła dalej, układy zmieniały się jak w kalejdoskopie...

Kalejdoskop — zabawka, przyrząd optyczny, zawierający różnokolorowe szkiełka luzem, które przy każdym poruszeniu przyrządu tworzą inną kombinację układu, a odbijając się w kilku okuślnie wprawionych lusterek przybierają kształt symetrycznego wzoru. Ułubiona przenośnia pisarzy i felietonistów — oznacza szybko zmieniające się widoki, sceny, wrażenia, wydarzenia... Kalos — eidos. Piękny wygląd. Piękny kształt.

Blade widoki.

— Ale to wszystko prawda, przeciwne fakty są najzupełniej prawdziwe, to wszystko prawda...

— Ty nie nie rozumiesz. Prawda, prawda... To nie o to chodzi...

— Nie o to chodzi. Tak jest. Nie o to chodzi.

„Rozchodził się o to, żeby pchnąć sprawę naprzód i żeby uświadomić rosnące zadania i ogrom odpowiedzialności. Rozchodził się o to, żeby rosnące zadania odpowiadały w pełni kwalifikacjom kadry kierowniczej. Będącymi tych ludzi rozliczać z niewykonania napływających zadań inwestycyjnych...”

A właśnie dyrektor Zieleni Miejskiej przeszedł do pracy naukowej w Instytucie Jądrowym, a główny tech-

nolog Barów Miejskich został naczelnym architektem...

— Ty nie nie rozumiesz. To nie o to chodzi. Ty się czepiasz drobiazgów, a ogólne zadania polegają na tym, żeby pchnąć sprawę naprzód... Zgoda. Więc pechajmy.

Podszedł do niego jakiś wymięty i lekko zażawiony obywatel miejscowości Sątopy — Samulewo. W oczach miał determinację, w ruchach nerwowość. Przemówił patriotycznie:

— Bracie rodaku. Daj dychę na balniczek...

— Ze co? — nie rozumiał.

— Na piwo. Dychę. Człowiek z człowiekiem... tego, ale góra z górą... — obywatelowi miejscowości Sątopy — Samulewo mylił się przysłowia, ale co do dych był pewien. Chciał ją mieć.

Dał mu ją, bo przecież człowiek z człowiekiem i góra z górą... Wrócił do poczekalni. Do pociągu zostały jeszcze dwie godziny.

Te pociągi lokalne, Tuszcz, Ostrołęka, Głowno, Łomża, Elk, Krosno. Te stacyjki. Herbata i piwo. Bulka zeschla. Rozmowy.

— Pan dużo w rozjazdach?

— Tak. Ja ciągle w podróży. Z rajzeferber przez życie. Zaczyna się ekler nesera. Rozkład jazdy na wierzchu. Z errata, bo dużo błędów. Za dużo. I wtedy przypomina sobie...

Wesoły kierowca wziął gwałtowny wiraż i nysa zachybotała przed czerwonym słupem stacji benzynowej. Te powiatowe miasteczka mają ulice pełne dziur i wybojów. Krótkie ulice, z lampą na rogu, słuszoną albo nie, z przechadnięciem pod ścianą, wyrażonym, wyeksponowanym na tle zamkniętych okien, zwłaszcza, kiedy wieczór i ludzie w domach oglądają telewizję, albo mówią o niczym w czterech ścianach rodziny, tyli samych do znużenia.

Wyjechaliśmy szybko i dalej była już tylko droga macana światłami reflektorów, droga też pełna dziur i wybojów, taka polska droga, którą urzędniczy ze stołecznych pieter nazywają drogą „czwartej klasy”. Po prawej i lewej stronie był mrok i drzewa gineły w nim szybko, motor mrucał, kierowca gwizdał tango, które znalazł jeszcze w szkole.

Gdzieś, piętnaście kilometrów stąd, we wsi, do której elektryczność przywędruje dopiero za parę lat, czekał mnie odczyt. Wiedziałem, że w sali szkolnej, oświetlonej — luksusem — trzema naftowymi lampami, zasiadzie może dziesięć, a może piętnaście osób. Wiedziałem, że przyjdą bez względu na nie mówiący im tytuł prelekcji, że przyjdą, choć guzik obchodził ich Butor i Okudźawa, że przyjdą choć podświadomie zdają sobie sprawę z całego bezsensu tego zmarowanego wieczoru, tak jak i ja zdawałem sobie sprawę.

Powiedziałem, że problem współczesnej literatury jest problemem nader złożonym i zaraz potem zrobiło mi się wstyd. Chłopi patrzyli na mnie smutno i z wyrzutem, a kilka dziewczyn chichotało zawzięcie w końcu sali. Dla nich była to rozrywka przewyższająca o całe niebo niedzielne nieszpory, zważywszy, że proboszcz jest przecież miejscowy.

Potem rozpaczyliwie zachęcałem do wypowiedzi i wstał chłop, którego twarzy już nie pamiętam. Mówił o sprawach smutnych, o krzywdzie ludzkiej, o nieuczciwości, ale nie była to literatura i ja nie wiedziałem, co w końcu powiedzieć na temat złej pracy męczarnej i oszukującego ekspedienta spółdzielni, nie wiedziałem, w jakim rozdzielniku figuruje wieś w planach elektryfikacji, nie wiedziałem naprawdę nie poza zbędnymi informacjami w rodzaju tej, kto był autorem „Krzesła” i „Luskiej śpiewaczki”. A oni, zdawszy sobie sprawę z mojej niewiedzy, poczuli wychodzić powoli,

szurając butami i wydmuchującą dębnianych cygarówek wypalone do cna resztki papierosów...

Nad miastem świecił jasna mgła, a ostatniego piętra wieźlowca ma tę mgłę tuż naprzeciw oczu. Wiersza Poety, który Nie Skoczył z Okna leżą na parapecie. Ta książka świadczy za zwycięstwem — tamto życie świadczy za klęską. Tak to się wszystko spłata, nie ma rozwiązań jednoznacznych. Wchodząc w rwący nurt przegranej — wchodzimy z nadzieją zwycięstwa. Z czegoś trzeba zrezygnować, coś trzeba spisać na straty...

I wtedy otwiera się przed nim ten dawno napisany tekst, zaczyna migotać na szybie, jak litery na świetlnej tablicy.

To było dawno, ta kamienna uliczka tętniła gwarem i przed tablicami ogłoszeń, przepychając się i tłocząc, staliśmy zaferowani. To było dawno, miałem na sobie drellichową bluzę, z której niedawno odprulem biało-czerwone trójkąty Służby Polsce.

Nosiłaś wówczas zielone gdynki — taka była moda, miałaś suknię w anachronicznych koronkach i to już nie była moda.

Zapytałaś mnie o jakąś sprawę, pewnie blagą i nieistotną — nie pamiętam, o co zapytałaś mnie wówczas. Odpowiedziałem... nie pamiętam, co ci wówczas odpowiedziałem — to dziwne, jak mało pamiętam z naszej pierwszej rozmowy.

Ulica Inteligencka jest perłą w łódzkiej koronie — tu domy są murej secesyjne niż gdzie indziej, tu tramwaj dzwoni dyskretnie i tłum uliczny nie jest anonimowy. Szliśmy ulicą Inteligencką.

Potem siedzieliśmy na lawce przed teatrem, potem siedzieliśmy w rachitycznym parku, który w moim mieście nazywają „parkiem śledzia”. Drzewa tam rosły maleńkie, dobre drzewo, czule i wrażliwe, wrastające korzeniami w kamienistą, ceglaną glebę. W „parku śledzia” — oś z niepocieszna nazwa — siedzieliśmy długo w noc, matka niepokoiła się na pewno, że stała mi się coś złego, że zaplątałem się w tym mieście pełnym zgrzytu i huku. Zaplątałem się rzeczywiście, chociaż nie było to miasto — to było zupełnie coś innego. W „parku śledzia” siedzieliśmy długo w noc — przechodził różni ludzie, zmezczeni i ciężcy, spoglądali na nas z wyrzutem, a może z pogardą. Pamiętam, że milczeliśmy i to było bardzo wiele — to milczenie, które tak wiele wyjaśnia.

Byłem dziś w tym samym parku — drzewa wyrosły — przechodziłem zmęczony i ciężki, na ławkach siedzieli ludzie, dla których byłem intruzem.

Przed teatrem stoł kioski z gazetami — nie ma już ławek przed teatrem, te ławki trzeba spisać na straty.

Nie ma rachitycznego parku — jest park, ale inny, to nie jest ten mój park, który był moim. Poprzedzaliśmy kłós ławki, pomieszał alejki i drzewa rosła bezwstydnie na wapniu i fosforze żywokostny kości.

Ten park także musimy spisać na straty, tak samo jak owa kamienna uliczka z tablicami ogłoszeń.

Nie plyniesz milcząca strugą z zielonymi stopami tataraku, nie idę twoim brzegiem w drellichowej bluzie Służby Polsce.

Zginęła mi spinka z plastikową kameą, kolnierzyk koszuli non iron dsił mnie i uwiara. Jak łatwo spusnąć na straty tamten park, ławki, uliczkę — razem z tą tańszą spinką.

Nie plyniesz ciężą strugą po kamienistych ulicach miasta. Do jej źródła nie da się wrócić — i to też trzeba spisać na straty. Jest teraz rzeka, szeroka, mroczna rzeka, obmywająca lata, domy, ulice — rzeka posępna i nie rozumiejąca — wierna rzeka moja.

(Fragment powieści pod tytułem „Tak prędko, coraz prędkiej”)

KONRAD FREIDLICH

ROBOTNIK W LITERATURZE

W latach trzydziestych, kiedy Stefan Czarnowski ogłosił swe popularne, a przecież do dziś nie zastąpione studium poświęcone problematyce kultury, dość jeszcze rozpowszechniony był pogląd, że cena postępu przemysłowego jest kulturalne wyjątkowość proletariatu. Ze była to teza więcej niż ryzykowna, nie trzeba się odwoływać nawet do przykładu radzieckiej Rosji, gdzie trwała przecież ożywiona dyskusja wokół zagadnień tzw. proletkultu i gdzie sztuka rewolucyjna, sztuka proletariacka właśnie, osiągnęła wysoki poziom artystyczny.

Nawet w latach ciężkich kryzysów ekonomicznych okresu międzywojennego, które raz po raz wstrząsały krajami Zachodu, nie nie upoważniało do tak pesymistycznego widzenia kultury robotniczej. A przecież głosicielami podobnych poglądów byli często ludzie sympatyzujący z idea socjalizmu, co prawda dość abstrak-

cyjnie pojętego i bliższego raczej egzaltowanemu humanizmowi.

Tego rodzaju świadomość znajdowała niekiedy swoje odbicie także w literaturze pięknej, na kartach powieści, czy w strofach wierszy. Były to książki pisane przez kleryków, którzy potrafili dostrzec piękno ludzkiej pracy, a jednocześnie ohydę wyzysku, ale nie potrafili wyjść poza to przeciwstawienie. Potrafili jednocześnie dostrzec antynomie między przeciwstawieniem wysiłków i bogostawieństwem twórczego procesu, jaki zachodził niustannie w pracującym człowieku. Lecz przy takim widzeniu gwałtowniejszy moment najważniejszy, o który toczyły się plóra wytrawnych i uczelnych przecieł obserwatorów życia: problem światopoglądu, klasowej świadomości.

Stanisław Bacyński pisał w „Rzeczywistości i fikcji”:

„Postawa pisarza wobec proletariatu mo-

głaby być dwójaka: albo obiektywna, albo subiektywna. W pierwszym wypadku pisarz ograniczyłby się do obserwacji i spopstrzeżeń, zachowując epicką równowagę, w drugim zaś musiałby zająć stanowisko proletariackie, stać się wyrazem świadomości klasowej proletariatu w obydwu jednak wypadkach punkt widzenia klasowy jest nieodzownym czynnikiem istotnego, porozumienia, gdyż pozbawiony swej klasowej odrębności proletariacki mógłby być tylko materiałem do tak zwanej „niedologii”, do humanitarnego, sentymentalnego snobizmu proletariackiego. Klasowość jest rangą społeczną proletariatu, jego kwalifikacją „honorową” w walce z burżuazją, a pozbawienie go tej rangi w literaturze pozbawiałoby go cech specyficznych i godności, obniżałoby go do poziomu zdeklasowanych grup społecznych, do lumpenproletariatu”.

Warto przypomnieć ten cytat, gdy interesuje nas obraz robotnika łódzkiego w literaturze polskiej. Regionalne zawężenie nie ogranicza przecież w niczym istoty problemu, który nawet w łódzkiej tylko eszemplifikacji wystąpił z całą ostrością, zwłaszcza, że literatura o robotniczym mieście jest wyjątkowo bogata.

Słowo Łódź pojawia się w literaturze polskiej po raz pierwszy w roku 1853, kiedy to Oskar Flak ogłasza swój słynny „Opis miasta Łódź pod względem historycznym, statystycznym i przemysłowym”. Miasto było już w tym czasie drugim co do wielkości ośrodkiem Królestwa Polskiego, pełną osadą fabryczną z perspektywami przemysłowego rozwoju. Miało też od samego początku charakter miasta pracy, ale robotnik w literaturze tego okresu występował tylko jako obiekt statystyczny. Trzeba było czekać końca XIX wieku, aby trafił wreszcie do prozy artystycznej.

Wprowadził go niemal jednocześnie Wincenty Kostakiewicz, autor zapomnianej i dziś już prawie niedostępnej powieści „Bawelna” (1895) oraz Władysław Stanisław Reymont, autor słynnej „Ziemi obłecanej” (1899), drukowanej wcześniej w odcinkach przez ukazujący się w Warszawie „Kurier-Gazety”.

Poprzedzamy na tej drugiej pozycji z uwagi na jej rangę artystyczną, a także dlatego, że jak się wydaje, „Ziemia obłecana” doskonale ilustruje podstawową słabość polskiej literatury o proletariacie, która posługuje się często tym samym beletryzycznym schematem, sprowadzając, jak to słusznie zauważył cytowany już tu Stanisław Bacyński, sprawy istotne do tła, życie robotnicze do plebejskiego folkloru.

Nie ustrzegł się tego także pilny kronikarz procesów zachodzących w mieście, Zygmunt Barkiewicz, pisząc swój zbeletryzowany reportaż pt. „Ziemia miasto”, ogłoszony pierwotnie w kilku kolejnych zeszytach „Świata” bezpośrednio po wypadkach 1907 roku w Łodzi, kiedy to proletariacka siła, folklorystyczny, urzeczony kolorystem zrewoltowanego miasta zaczęły także na widzeniu Andrzeja Struga, który w powieści „Dzieje jednego pociągu” starał się ukazać mechanizm społeczny wypadków 1905 roku, ale w rezultacie naszkicował konturowy portret sztabu bojowców, gdy temat walki proletariatu wymagałby szerokiej epickiej panoramy.

A przecież powstanie czerwcowe 1905 roku stanowiło dla literatury temat szczególnie wdzięczny, gdyż ujawniło po raz

pierwszy w takiej skali moralne sily proletariatu, jego solidarność i świadomość klasową. Gdy jednak rozpatrujemy powieść tamtego okresu, musimy przyznać pierwszeństwo raczej relacji reporterskiej, która wyszła spod pióra petersburskiego dziennikarza i literata Mikołaja Timkowicza-Kostina. Cwil jego korespondencji przełożonych na język polski, który ukazał się jako osobny druk, zatytułowany „Miasto proletariackie”, przynosi bowiem, mimo wszystko, najbardziej pogłębiony obraz wydarzeń rewolucyjnych w Łodzi. Chociaż tłum jest przedstawiony anonimowo, choć mamy tu do czynienia raczej z wyrzykowanym dokumentem życia społecznego niż z dokumentem życia konkretnej jednostki ludzkiej, proletariacki rysuje się nam tutaj jako świadoma swych celów politycznych, zorganizowana siła.

Trzeba było czekać blisko 50 lat, zanim została dokonana interesująca powtórka z tego tematu. Wyszła ona spod pióra pisarza wnikiwie penetrującego sprawę przeszłości Łodzi, jako kolejna książka szerzej zarzysowanego cyklu historycznego. Wprowadził „Czas poedna, trawa porośnięta” Władysław Rymkiewicz jest powieścią ukazującą pełną zygawków i zawań drogę inteligenta w ruchu robotniczym, ale na jej kartach znajdujemy nie papierowe już i wykraczające poza sama tylko obyczajowość sceny z życia robotników.

Okres międzywojenny odkrywa dla powieści polskiej motywy pracy, na co miał zapewne niemały wpływ rozwój reportażu literackiego, uprawianego w tym czasie przez najwbitniejszych polskich pisarzy. Bujnie kwitnie tak-

NA NOWYCH MIEJSCACH

Z prezesem Łódzkiego Oddziału ZLP
WIESŁAWEM JAŹDZYŃSKIM
rozmawia — Marek Wawrzkiwicz

— Są to sprawy powszechnie znane, ale wróćmy do nich na chwilę, aby uzmysłowić naszym czytelnikom to, co jest bardzo ważne: po sztucznym ożywieniu kulturalnym, którym był okres powojenny, po wielkim exodusie ludzi pióra do stolicy, łódzkie środowisko literackie stanęło przed zadaniem najtrudniejszym i najbardziej podstawowym: wychowanie czytelnika, zainteresowanie masowego odbiorcy literaturą. Przypomnijmy te czasy i to, co zostało zrobione.

W. JAŹDZYŃSKI: — Powojenne dzieje łódzkiego środowiska literackiego, z pewnością bogate, a nawet burzliwe, nie zostały dotąd opracowane, ulegają więc powoli zmitologizowaniu, do ocen wkradają się niekiedy zwodnicze elementy pamięci, biorą górę oceny subiektywne i trudno doprawdy w krótkiej wypowiedzi pokusić się o pełny obraz naszej literackiej przeszłości.

Ale to pewne, że mieliśmy lata wyjątkowo tułste, nasycone dużymi wydarzeniami kulturalnymi. Wystarczy tylko przypomnieć sobie świetne teatry, pierwszych w kraju reżyserów i aktorów, świetne pióra czołowych naszych pisarzy tamtego okresu, czy wreszcie polemikę, rozdyktowaną prasą literacką typu „Kulczyk”, „Wsi”, czy „Kroniki”, na której zakończył się ów złoty okres. Miał on swoje zalety i wady. Wadą na przykład była swojego rodzaju sztuczność tego okresu. Wielu pisarzy wracało do stolicy odzyskującej należną jej rangę i trudno się temu dziwić, jest to bowiem proces naturalny. Dziwić się natomiast można pewnym przedstawicielom władz miasta, którzy chętnie zdejmowali sobie kłopot z głowy, wyrażali nawet chęć odprowadzenia twórców do rogatki Łodzi. Zaleta zaś polegała na posiadaniu pewnego fermentu, zastrzyku ambicji, z których środowisko literackie, pomijając na razie skutki, do tej pory nie zrezygnowało.

Pragnę przypomnieć kilka przykładów tego rodzaju ambicji. „Łódź Literacka”, a przede wszystkim dwutygodnik „Kronika” ukazywały wciąż duże możliwości łódzkiego środowiska twórczych. Ukazało je także Wydawnictwo Łódzkie, którego początki a i bieżące dzieje tak bardzo są związane z łódzkimi środowiskami twórczymi, przede wszystkim zaś z pisarzami i naukowcami. I trzeba powiedzieć, że dziesiątki książek, zwłaszcza w dziedzinie poezji i prozy nie jako od razu świadczą, że łódzkie środowisko literackie należy do pierwszych w kraju.

Nie brakowało także cennych inicjatyw, wzbogacających nasze życie kulturalne. Z pewnością trzeba w tym miejscu powiedzieć o periodyku „Osnowa”, który przez jakiś czas ukazywał się dość regularnie jako reprezentacyjny kwartalnik środowiska twórczych z prymatem wszelkie pisarzy. Było to jednak wydawnictwo troszkę z nieprawdziwego zdarzenia, jeśli brać pod uwagę jego status

prawny, czy zasady finansowania, pozostawione w gruncie rzeczy szerszym możliwości rozwojowych ze względu na brak aparatu kolportującego, propagandowego, a przecież wartościowe. Teraz mówimy o miesięczniku, normalnym, odpowiednio wyposażonym, mówimy o nim jako o miejscu, gdzie można by skrzyżować ze sobą głębsze refleksje nad sprawami kultury, nauki i wszystkich dziedzin kultury. Sprawa nie jest załatwiona, wierzę jednak w jej dobrą przyszłość, ponieważ wierzę w normalny rozwój życia umysłowego Łodzi.

— Znowu sprawy znane, ale nie unikniemy ich przy tej rozmowie: prosimy o dane, dotyczące naszego środowiska pisarskiego i o kilka słów na temat zaplecza — młodych pisarzy.

W. JAŹDZYŃSKI: — Łódzkie środowisko literackie liczy obecnie 56 członków i jest czwarte z kolei co do wielkości w kraju. Warto przy tej okazji powiedzieć, że wyrażną dynamikę rozwojową widać obecnie w Warszawie, Krakowie, Wrocławiu i Łodzi, znacznie już mniejszą w Poznaniu i Gdańsku. Znaczną część środowiska literackiego, tak to jest przynajmniej ostatnio, tendencji rozwojowych nie wykazuje. Dzieje pisarza, to przede wszystkim dzieje jego książek. Trudno przewidywać co i kiedy zostanie napisane, jaką będzie przedstawiała wartość, trudno prorokować rozwój naszego literackiego środowiska. Można jednak przypuszczać, że w roku przyszłym osiągniemy liczbę 60 pisarzy.

Ze szczególnymi ocenami wolałbym się wstrzymać, pragnę jednak podkreślić, że mamy bardzo dobrych prozaików, wysoko notowanych nie tylko na giełdzie literackiej, ale i wśród czytelników. Wielu naszych pisarzy uzyskało nagrody państwowe Ministra Kultury, Obrony Narodowej, miasta Łodzi i Województwa, zyskało nagrody na konkursach.

Zwraca uwagę łódzkie środowisko poetyckie, przednich mamy poetów, w ostatnim czasie wyróżnia się wyraźnie powiększająca się grupa tłumaczy, zwłaszcza z literatury rosyjskiej i radzieckiej. Gorzej natomiast u nas z dramatem, choć piór nie brak i gorzej z satyrą. Jest to zapewne sprawa braku odpowiednich kontaktów z teatrami, pismami satyrycznymi, a i gazetami codziennymi.

W ostatnich latach Łódzki Oddział Związku Literatów Polskich wzbogacił się o grupę młodych pisarzy. Ciężki fakt, że są to pisarze wszechstronni — poeci, prozaicy, reportażyści i publicyści. Inna rzecz, że latami czekają u nas na druk poeci i to niekiedy poeci bardzo dobrzy. Zauważyć przy tym trzeba, że rysują się duże możliwości, jeśli chodzi o krytykę literacką. Uniwersytet Łódzki wychował interesującą grupę młodych krytyków. Nie mają oni, niestety, gdzie publikować, szukają więc możliwości poza Łodzią, niekiedy z dużym powodzeniem. Sądzę, że ten stan powodujemy do pewnego stopnia sami, jeżeli zakładamy z góry, że prace łódzkie powinny być oceniane przez kry-

tyków warszawskich czy innych, ponieważ grozi nam jakieś kumoterstwo, oceny po znajomości itp. Zakładanie z góry niezdrowej sytuacji wydaje mi się nieporozumieniem, a w każdym razie hamuje rozwój naszej krytyki, bez której trudno mówić o poważnym fermentie literackim i innym. Można też dodać, że owe „obiektywne” sądy niezainteresowanych bywają wątpliwe.

— Jakże osiągnięcia łódzkich pisarzy wydają się Panu szczególnie znaczące?

W. JAŹDZYŃSKI: — Dorobek pisarzy łódzkich, z pewnością bogaty, jest właśnie szczegółowo opracowywany. Książka, jeżeli dobrze jestem poinformowany, została już napisana i czeka na druk. Sądzę, że jej czytelnik otrzyma pełny obraz osiągnięć naszych pisarzy we wszystkich dziedzinach literatury.

Nie czuję się upoważniony do wydawania opinii o poszczególnych książkach, chciałbym jednak powiedzieć kilka słów o pewnych inicjatywach, wskazujących na nieustannie i chyba ambitne próby ożywiania naszego życia literackiego i kulturalnego.

W pierwszym rzędzie Ogólnopolski Festiwal Poezji. Ma on za sobą już dość długą tradycję i chociaż nie zawsze uzyskuje rangę najwyższą, wart jest przecież kontynuowania, a przede wszystkim doskonalenia. Być może w roku przyszłym, a więc roku XXX-lecia PRL, zwycięży koncepcja Festiwalu, wiążąca poezję z innymi

sztukami — teatrem, filmem, telewizją, czy plastyką. Taki integrujący charakter Festiwalu z pewnością określi lepiej rolę poezji we współczesności i nada samej imprezie wysoką rangę. Dodatkową i bardzo pożyteczną inicjatywą, związaną z Festiwalem jest wydawanie „Rzeczy Poetyckiej” jako sumy przemyśleń nad stanem i funkcjami poezji.

Niebagatelne znaczenie, o czym już co nieco wspominałem, posiada dynamiczny rozwój środowiska tłumaczy. Wydawnictwo Łódzkie wykazuje w tym zakresie dużą konsekwencję i w miarę swych możliwości rzuca na rynek pozycje radzieckie, zwłaszcza zaś białoruskie. Wydaje mi się, że powinniśmy z Łodzi uczynić skromny na początek, ale wzorowy ośrodek stałych kontaktów z pisarzami radzieckimi, spotykać się z nimi regularnie, zapoznawać czytelników ze wspólnym dorobkiem.

— Łódź — w jej przyszłym nowym kształcie — to nowy teren dla działań kulturalnych. Jaka jest według Pana rola literatury w tym kontekście.

W. JAŹDZYŃSKI: — Nie jestem pewien, czy rola literatury zmienia się tak szybko. Przynajmniej do kultury druku, druk sprawdza naszą postawę i wartość. Nie umiałbym niczego więcej powiedzieć prócz tego, że uważnie trzeba się przyglądać czytelnikowi, gdyż rozwija się on niezwykle szybko. Z tego można i chyba należy wyciągnąć wniosek, że wiązanie pisarza z czytelnikiem staje się sprawą pierwszej rangi.



Wiesław Jażdżyński

W tym względzie pisarze łódzcy nie należą do ostatnich. Rozpocznę się niebawem dalszy ciąg współpracy pisarzy z zakładami pracy, pewna grupa pisarzy podjęła już inicjatywę napisania pracy zbiorowej, ukazującej współczesny zakład pracy właśnie oczami pisarza. W jednym z większych zakładów pracy odbędzie się w roku przyszłym spotkanie z załogą, poświęcone podstawowym wątkom współczesnej literatury, chociaż będzie głównie o typ współczesnego bohatera. Środowisko nasze będzie się starało o ściślejszy i zorganizowany kontakt z młodzieżą licealną. Regularne spotkania pisarzy w rozmaitych klubach, zbiorowe występy naszych poetów dla określonej publiczności — młodzieży, nauczycielstwa, czy Wojska Ludowego — służby powinny właśnie temu zasadniczo celowi — poznania odbiorcy a i propagandzie literatury. Zwalacza teraz, kiedy Łódź tak dynamicznie idzie do przodu, zmienia się w oczach w miasto nowoczesne, propaganda treści humanistycznych staje się konieczną.

Jeżeli pytanie o jakiś szczególny sens literatury jest zasadne, to chyba sprawa na tym polega, aby literatura wszystkie nasze poszczególne wysiłki i wszystkie specjalności tak przeciwdeintegracyjnie, brała pod wspólny mianownik, odkrywała wspólne i nadrzędne cele wszelkiego rodzaju prac służących człowiekowi i socjalizmowi.

I jeszcze jedna uwaga. Książka nie straci swojej wielkiej roli w upowszechnianiu kultury, ale inne środki przekazywania literatury zaczynają odgrywać co najmniej równorzędną rolę. Myślę w tej sytuacji, że nasza twórczość powinna żywić się nie tylko z pióra, ale także z filmu, telewizji, radiem, czy teatrem.

— Dziękujemy za tę obszerną wypowiedź i prosimy przyjąć wyrazie zapewnienia, że pismo nasze będzie się starało poświęcać coraz więcej miejsca utworom łódzkich pisarzy i ich przemyśleniom na tematy kultury i literatury.



Fot. Archiwum

że twórczość pamiętnikarska, przynosząc wstrząsające niekiedy dokumenty z życia proletariatu, ale Łódź nie doznała się tak interesującego studium pracy, jak J. Wojciechowski „Zyciorys własny robotnika”, nadesłany na konkurs Polskiego Instytutu Socjologicznego. Owe pamiętniki, spisywane resztą najczęściej na zamówienie naukowców, uprzytamniają nam zarazem problem zupełnie nowy: jest to już nie literatura o proletariacie, lecz par excellence literatura proletariacka.

Wprawdzie i wcześniej na gruncie polskim mogliśmy się spotkać z tym zjawiskiem, badając pieśni robotnicze stworzone przez anonimowych często autorów, pieśni bogate w nastroju poetyckim, bo obejmujące epikę, lirykę i satyrę. Ale twórczość ta najczęściej, jak zwrócił był na to uwagę Tadeusz Chrząstowski w przedmowie do antologii „Czerwona lutnia”; „nastawiona jest wyłącznie na proste naśladowanie umiędzej poezji „proletariackiej z wyboru”, inteligentów”. Lecz przecież mimo powtórzeń formalnych łatwo się zorientować, że chodzi o twórczość diametralnie różną od choćby najbardziej wyczulonej na krzywdę społeczną poezji mieszczańskiej, a nawet od samorodnych, buntowniczych w nastrojach pieśni ludu wiejskiego. Podmiot liryczny tej poezji, jeśli się tak można wyrazić o wierszopisarstwie programowo nieosobistym i niesentymentalnym, jest

najczęściej zrewoltowanym herosem, przemawiającym w imieniu tysięcy i wspólnie z tysiącami współbraćmi. Czytając te niewprawne niekiedy strofy słyszy się groźny poszum turaju i widzi zaciskające się pięści. Wystarczy przywołać związany tematycznie z Łodzią anonimowy wiersz „Śmierć prowokatora” czy „Śmierć Kunitzera”.

W latach trzydziestych doczeka się Łódź swego nieanonimowego już piewcy proletariackiego z autentycznym robotniczym rodowodem. „Słońce za murem” Antoniego Kasprowicza, debiut poetycki z roku 1935, jest właśnie dokumentem wysokiego wlotu artystycznego sztuki robotniczej, chociaż i tutaj znajdziemy pogłosy poezji rewolucyjnej i walczącej, napisanej przez twórcę inteligentnego pochodzenia, bo Władysława Broniewskiego, który zresztą po latach wysoko poezję Kasprowicza ocenił. Sledzenie dalszego rozwoju pisarza pozwala nam odnotować interesującą jego przemianę, jaka dokonała się już po wojnie w nowych warunkach ustrojowych. W retrospektywnym tomie prozy zatytułowanym „Opowiadania łódzkie” składa reszta Kasprowicza niejednokrotnie dowody samowiedzy o tej nieuchronnej mutacji. Nie tylko dlatego, że jest dziś człowiekiem uprawiającym twórczość literacką zawodowo, co automatycznie miało wpływ na artystyczną nobilitację tej twórczości, na lepsze opanowanie formy, techniczną doskonałość zarów-

no wiersza jak i prozy. W nowych warunkach społecznych twórczość ta musiała niejako dokonać odwrócenia spojrzenia. Stała się afirmującą, akceptującą, i choć tematyka robotnicza pozostała żywoczną pasją Kasprowicza, pisarz najchętniej odwołuje się do przeszłości, wskazując swe wcześniejsze doświadczenia, mniej pewnie zaś penetruje problematykę współczesną, stwierdzając, co najwyżej, swoje przeobrażenie się w zawodowego literata, a więc jakby oderwanie od ludzi, z których wyszedł. Musiał chyba przeżywać podobne rozterki Lucjan Rudnicki, którego autobiograficzna powieść „Stare i nowe” przynosi wiele kart poświęconych życiu proletariatu łódzkiego w okresie poprzedzającym i wojnę światową.

W innej sytuacji jest Bronisław Wiercokowski, poeta — robotnik, autor zbioru wierszy „Hebel i słowo”, wydanych blisko 40 lat po prasowym debiucie na łamach redagowanej przez Stanisława Czernika „Okolicy poetów”. W porównaniu ze znaną mi polską samorodną poezją robotniczą, w twórczości Wiercokowskiego uderza przewaga pierwiastka refleksyjnego nad rewolucyjnym, Intymności nad wyrażanie uczuć zbiorowych. Poezja, jak sam mówi, jest dla niego „zwyckim i najprostszym czynem”. Motyw pracy silnie zaważył na tych wierszach, ale nawet w najświetniejszych głosi jej bezkrytyczną apologię, podkreśla jej godność, urodę i radość.

Dość zacytował utwór „Robotnicy”, opublikowany w roku 1936.

Przed bramą, gdy cynober zorzy po niej spływa,
Schochymy się. Dziewczęta mówią najswobodniej,
Kobiety jak pochyłe stoja georginie,
Mężczyźni w klubach dymu spływają na chodnik.
Wtem zgrzytnęły zawlasy, o fabryczne mury
Uderzył podwoje, jakby rzeki fale.
Jak dzikie gęsi, w locie wyciągnięte sznurem,
W blasku słońca do maszyn śpieszymy na sale.

Podobne ujęcie znaleźć możemy chyba tylko w poezji robotniczej niemieckiej, którą analizował pod kątem zawartych symboli literackich Friedrich Falk, doszukując się pierwiastków religijnych i mesjanistycznych, co wywołano żywą polemikę Stefana Czarnowskiego („Powstanie nowej kultury”). Nie można odmówić słuszności wnioskom Czarnowskiego, choć wypada dodać, że realizacja jego postulatów jest możliwa dopiero w warunkach socjalizmu, gdy robotnik staje się właścicielem narzędzi pracy, co pozabawia tragizmu i nadaje rzeczywistą godność a nawet patos.

Blizsza realnemu widzeniu była więc chyba powstała z najgłębiej ludzkich pobudek polska literatura mieszczańska z lat międzywojennych, ukazująca tragizm pracy w warunkach kapitalistycznego wyzysku. Zwraca na siebie zwłaszcza uwagę działalność grupy literackiej „Przedmieście”, która jako naczelne swoje zadanie postawiła poznanie warunków socjalnych życia w Polsce i wykorzystanie tych doświadczeń w twórczości.

W ten sposób powstał przemijający reportaż Heleny Boguszewskiej pt. „Włókniarze” (1934), rzetelny dokument z lat kryzysu, przepojony wszakże raczej ogólnoludzkim współczuciem narratora, niż proletariacką ostrością widzenia. Inny członek grupy, Pola Gojawiczyńska, powróci do tego tematu w reportażu „Z innej gliny” (1935), prezentując podobny współczujący humanizm. Robotnik łódzki trafi wreszcie na karty powieści Gustawy Jareckiej („Inni ludzie”) i Józefa Jaremskiego („Włókniarze”, „Ludzie z parteru”), ale w tych próbach prozatorskich, posiadających bogatą warstwę obyczajową, motyw pracy i walki proletariatu potraktowany został zbyt formalistycznie i powierchnie, co osłabia ich artystyczną wymowę, a tym samym i wartość poznawczą. Także Władysława Pawlaka „Kamienica wielkiego miasta” jest typową prozą opisową, nie pozbawioną wartościowych akcentów folklorystycznych, ale daleką od tego co chcielibyśmy wiązać z reprezentatywną twórczością proletariacką.

Lata powojenne przyniosły ogromną ilość książek, poświęconych Łodzi zarówno przeszłej jak dzisiejszej. Wszakże i w tych książkach robotnicy stanowią najczęściej tylko ogólnie tło, rzeczywistości zaś ich bohaterowie przeżywają swoje wysublimowa-

Dalszy ciąg na str. 10

ZIEMOWIT
SKIBIŃSKI

Ballada niewinności



Idzie odaliska poprzez gwiazdne gaje,
W nocy się przegląda — siebie nie poznaje.

Idzie dalej, patrzy: księżyc — sułtan tłusty
Skryty w złotych pumpach wielki złotousty.

Kragie zuroczony lico swe wydłuża,
Dziwnie w bok przechyla, z siebie się wynurza.

„Witaj, o nadobna, bądź mą odaliską,
Dam z krzewów moich gwiazd złote grona wszystkie

Saturna zaręczę cię wielkim pierścieniem
I w Mlecznym kapać się będziesz Strumieniu”.

Wieczność już miała być dla obojga lożem,
Gdy ciemność poczęła spijać jutrzna zorza.

Opowieść koniec. Pierzchy gwiazdne gaje,
A i oni sobie się zdawali wzajem.

Ziemowit Skibiński urodził się 16 stycznia 1943 roku w Poddębicach. Ukończył Wydział Historii Uniwersytetu Łódzkiego. W roku 1964 zadebiutował tomem wierszy pt. „Księżyc”. Obok liryki uprawia także krytykę literacką. W roku 1973 wydał kolejny tom wierszy pt. „Maski”, z którego przedrukujemy „Balladę niewinności”.



ANDRZEJ WIKTOR
MIKOŁAJEWSKI

Gdy bywasz chwila

Ponieważ była wiosna
i ptak musiał lecieć
Wallace Stevens

w obłądnym kołowrocie czasu
wiatry przywiałą nam niespokojność
ruchu

Jedynym naszym sensem jest siła
materii

los z niej tryskający
co nas ucłowieczył
i nazwał: żywiołem płomiennym
krwi

ale, że! prochem naszym kości
jest żywioł traw zakwitania
i bakterii niezwykle działanie

w tobie mój kraj spokoju
gdy bywasz chwila
w której obecność staje się odlotem
ptaków

Andrzej Wiktor Mikołajewski urodził się 3 listopada 1947 roku w Łodzi. Jest słuchaczem Studium Oświaty i Kultury Dorosłych. Zadebiutował w roku 1970 w miesięczniku „Poezja”. Wiersz „Gdy bywasz chwila” pochodzi z tomiku „Znajdome miejsce” (1973), stanowiącym książkowy debiut autora.

Fot. Archiwum



KONRAD
FREJDLICH

Cmentarze

zarosłe gęsto śmiercią jakże tu wszystko obce
cień mój żelazem wypala na czole mroźne piętno

nawet świece
natrętnie okupują plastry grobów
szerszenie ścielą gniazda w czaszkach pełnych wosku

mój puls przebija kamień
i zaraz powraca do mnie
zapamiętując zarys tamtej równiny bez końca
gdzie serca

krecio ziemi przypadły pod darnią
tylko ręce się wznoszą
złożone w krzyż walecznych

rówieśni moi
aż o śmierć odlegli
co wam legła na piersi granit i męstwem
sioję tu
wśród kamieni mały kopczyk mięsa
ojejzję biorąc z waszego jestestwa

Konrad Frejdllich urodził się 28 listopada 1940 roku w Grodzisku Mazowieckim. Jest absolwentem Wydziału Prawa Uniwersytetu Łódzkiego. W roku 1961 zadebiutował tomem wierszy pt. „Alery”. Kolejne ukazały się jego powieści: „Sędzia” (1963), „Miary” (1965), „Kres” (1972). W roku 1970 wspólnie z Andrzejem Makowieckim opublikował tom reportaży pt. „Mfrazę i złoto”. Jest także autorem antologii reportaży łódzkiego pt. „Uśmiech Ariadny” (1973).

Wiersz „Cmentarze” pochodzi z tomu „Dorzeze”, który ukazał się w roku ubiegłym nakładem „Czytelnika”.



MAREK
WAWRZKIEWICZ

Odloty

Znowu się fala krótka zamyka nad wszystkim
Wzepłony w szkielec ryby kona siwy jastrząb
Pióra piewcom podobne Fale wiatrom bliskie
We wszech żywiołach tonąc jednakowo łatwo

Przeło, by się podzielić ktoś wybiera ciszę
Ktoś znów krzyczy lub skrzeczy przed owym odlotem
Jak powietrze jak woda są jednak różnice
I tylko to się liczy co nastaje potem

Ta chwila nie o sobie wiedzieć nie pozwoli
Jak nas najdzie i kiedy z jakiego ukrycia
I nieprawda co mówią że ona tak boli
Przecież to nie śmierć jeszcze ale reszka życia

Marek Wawrzkiwicz urodził się 1 lutego 1937 roku w Warszawie. Studiował historię na Uniwersytecie Łódzkim. Zadebiutował w roku 1960 tomem wierszy „Malowanie na piasku”. Kolejne ukazały się jego książki poetyckie: „Orzech i nimfa” (1963), „Ostima Tmule” (1967), „Jeszcze dalej” (1968). Uprawia także krytykę teatralną i opublikował tom felietonów teatralnych pt. „Sceny wielkie i średnie” (1970). Wiersz „Odloty” pochodzi z tomu „Przed sobą”, który ukazał się w roku bieżącym nakładem „Czytelnika”.



JERZY
JARMOŁOWSKI



może ja kocham wszystko co garbate
co nieudacne co zrosnięte krzywo
jakby się we mnie mościł dąb ze śliwą
mąż tysiącletni z miodką karłowatą

może ja kocham stare cierpkie wino
co w nim mróz mieszka nawet w
środku lata

jakbym przelykał chłód z nie tego
świata
jakbym zmarłego łączył z dziewczką
żywą

może ja kocham wszystko co niestale
i szukam siebie gdzieś w ziemi przed
wiekami

wtedy być może rosem w pchłę
kulawa

teraz mi mówią iż bywam człowiekiem
może ja wtedy życie pokochałem
to co że chrome to nie że kalekie

Jerzy Jarmołowski urodził się 14 marca 1940 roku w Wilnie. Zadebiutował w roku 1964 tomem wierszy „O dziewczynach żołnierzy”. Wydał kolejno książki poetyckie: „Lato rdzawe” (1965), „W którą tobie stronie” (1969), „Zielone i weselne” (1970). Sonet bez tytułu, który tu publikujemy pochodzi z tomiku „Może ja kocham wszystko co garbate”, który ukazał się w roku 1972 nakładem Wydawnictwa Łódzkiego.

ROBOTNIK W LITERATURZE

Dalszy ciąg ze str. 8

ne dramaty wewnętrzne poza środowiskiem pracy. Są to niekiedy bohaterowie wyalienowani tak dalece, że właściwie nieokreśleni społecznie mimo licznych lokalnych odwołań i łódzkiej topografii.

Toteż na uwagę zasługuje przede wszystkim powieść Władysława Rymkiewicza „Ucieczka z ziemi obiecanej”, opowiadająca o pierwszych godzinach nowej rzeczywistości w Polsce i o niepokojach, jakie zwiastują jej nadejście. Nie brak w tej interesująco skonstruowanej prozie pewnych uproszczeń realiów, pewnej literackości, ale znajdziemy też pełnokrwiste portrety robotników, chociaż i oni są tylko tłem, bo książka mówi raczej o rozterkach inteligenta, zrodzonych przed nadciągającą rewolucją.

Toteż bliższa interesującej nas problematyki będzie raczej powieść Leona Gomolickiego zatytułowana „Białe runo”, pierwsze i jak dotąd jedyne w literaturze poświęconej Łodzi, studium pracy, choć dalekie od wyczerpania tego pasjonującego tematu. Także i w tej książce widzenie

folklorystyczne przeważało nad ustrojowym ujęciem najistotniejszego motywu literackiego naszych czasów. Kto zresztą wie, czy powieść o pracy nie jest synonimem powieści politycznej, której brak od lat konstataje krytyka.

Ostatnie lata przyniosły jeszcze jedną interesującą próbę: powieść Ryszarda Binkowskiego „Pójdźciez ponad sadem”. Pojawia się w niej motyw robotnika w pierwszym pokoleniu, syna chłopskiego, porzucającego wieś i szukającego w mieście społecznego i cywilizacyjnego awansu. Ale także i ta, udana na pewno książka, mimo autentycznych realiów bliskich autobiografii przynosi tylko niewielką cząstkę spraw związanych ze współczesną problematyką robotniczą.

I dopiero suma tych wszystkich prób składa się zapewne na niekonturowany już obraz proletariackiego miasta. Wciąż jednak czeka Łódź na ambitną próbę epiki, na powieściowy fresk, który ogarnie swym zasięgiem całą złożoność problematyki pracy i ukaze prawdziwego bohatera epiki: socjalistycznego robotnika.

KONRAD FREJDLICH

KSIĄŻKOWE NIEDOLE

Dalszy ciąg ze str. 7

go — ale przecież jednocześnie musiał budzić, na pewno budził wśród jakichś adresatów bez nazwiska niechęć, może i drwinę: łatwo wzywać i zachęcać do wyrwania, samemu nie znajdując się w rudnikach Narczyńska, biorąc udział w petersburskim życiu dworskim i mimo wszystko w tego ucieskach.

A jednak nie oznacza to, że poeta łatwo doszedł do tego wiersza i później dość łatwo od niego odszedł. Wiersz był czymś ważnym dla adresatów i nie tylko dla nich. Wiersz do dziś najprościej i najwłaściwiej opowiada o dekabrystach, jest sygnałem intonacyjnym tamtych tragicznych wydarzeń.

Postanowiłem i sprawę tego wiersza uwzględnić w opowieści.

Nie szukałem jakichś szczególnych rozwiązań formalnych, najwyżej do narracji gdzieś włączyłem dokumenty. Niech to będzie — postanowiłem — fabularna opowieść, częściowo wysnuta ze zmyślenia, które może być zgodne z prawdą życiową, częściowo

z rozmaitych dokumentów historycznych, rozmaitej doniosłości, znaczenia. Wyszedłem bowiem z założenia, iż dla kogoś innego opowieść, z nich korzystająca. W literaturze zawsze różne jej przejawy i wyrazy muszą współistnieć — sobie zaprzeczając lub się uzupełniając.

Ja także wiem, i to nie od dziś, że pewne przemiany w literaturze, a więc i w beletrystyce, są nieodwracalne choć mogą być i nawroty, jakaś wymiennosc rozmaitych elementów lub jakaś ich koegzystencja. A jednak, o czym coraz częściej się zapomnia, jeśli beletrystyka ma wywołać żywsze rozmyśli lub rozważania wśród czytelników na temat społecznej i jednostkowej moralności, to nadal — przynajmniej od czasu do czasu — musi ona proponować także bohaterów wyraźniej zarysowanych, może nawet uproszczonych, znacznie bowiem szersze koła czytelnicze do refleksji pobudzają nie myśl i nastroje, nie powieściowo-eseistyczne rozważania i nie strumienie świadomości — ale postępowanie bohaterów, czyny.

(Chciałbym w tym miejscu zastrzec się, że nie wiążę ze swoją skromną opowieścią aż takich nadziei, mimo iż niewątpliwie coś z tego mna kierowało, inaczej po co byłoby pisać?)
A dlaczego notuję te swoje uwagi, częściowo zaś autorskie wynurzenia? W naszym życiu nazbyt często spotykamy ludzi — jeszcze częściej spotykamy się z ich działalnością w różnych dziedzinach życia, która świadczy o tym, że nie zdają oni sobie sprawy z tego, że coś otrzymali i otrzymują w spadku i że coś powinni w spadku przekazać, z czegoś przed swoimi następcami się wyliczyć. Czyli ludzi — usiłujących uswiadamić sobie także i współczesności.

Niech tedy przemówi Maurycy Mochnacki:

„Nie dosyć na tym, że jesteśmy: potrzeba to jeszcze wiedzieć...”

JAN HUSZCZA



POKER

Do dzisiejszego dnia nie potrafię sobie wyjaśnić pewnych wydarzeń, które miały miejsce w dniach poprzedzających wyzwolenie Łodzi spod okupacji i tuż po nim. Wydarzenia te znajdują się bowiem, jak się to mówi, poza granicami normalnego, logicznego rozumowania.

Spotykaliśmy się w owym czasie dość często w gronie kilku kolegów. Niektórzy z nich byli ze mną w obozie jenieckim, skąd wrócili, podobnie jak ja, jako „chorzy, niezdolni do pracy fizycznej” — co stwierdzały oficjalne zaświadczenia komendantury obozowej, inni doszli do naszej paczki w późniejszym okresie. Był więc w niej Roman z ulicy Odyńca, niesłychany szczęściarz, który miał za sobą ogromną ilość udanych przepraw przez granicę oddzielającą generalne gubernatorstwo od „Warthe-gau”. Były to przeprawy na ogół o charakterze handlowym. W rezultacie Roman opływał we wszystko czym dysponowała okupacyjna rzeczywistość. Nosił wysokie buty oficerki, miał na zmianę kilka granitów, złotego Schaffhausena, masę marek niemieckich i złotych z guberni, a w razie potrzeby oferował całe plachty fałszywych, ale dobrze podrobionych kartek ubraniowych i żywnościowych.

Był z nami także Piotr z ul. Tetmajera, nauczyciel z zawodu, zatrudniony w latach wojny jako malarz w jakimś przedsiębiorstwie budowlanym, był Stefan — fryzjer z „mojej” ulicy, czyli z Malczewskiego i wreszcie Sławek. Ten imponował nam wszystkim, gdyż wiadomości z frontów zamieszczane w „Litzmannstaedter Zeitung” potrafił komentować jak nikt inny. Regularnie słuchał Londynu i Moskwy i każdego dnia wiedział, ile jest prawdy, a ile kłamstwa w niemieckich komunikatach o sytuacji wojennej. Co do mnie, pracowałem wówczas w buchalterii, bo opanowałem sztukę zapisywania każdej sumy raz po lewej a raz po prawej stronie konta przyszło mi najszybciej. Zostałem więc na resztę lat wojny buchalterem, bo po powrocie z obozu trzeba było coś robić.

Kilku z nas, jak sobie przypominam, łączyła potrzeba częstszych spotkań. Ale gdy kawiarnie, koncerty i inne rozrywki były „nur fuer Deutsche”, ratowaliśmy się przed pustką dni grą w karty. I tak się stało, że już na szereg miesięcy przed ostateczną klęską Niemiec spędziliśmy kilka godzin w tygodniu na grze w pokera. Pokera jest grą silnych nerwów, a w nas wszystkich była jakaś potrzeba utrzymania tych nerwów, w stanie stałego napięcia, można więc powiedzieć, że pod pewnym względem pokera odpowiadał nam psychicznie.

Już nie pamiętam, kto z nas rzucił tę propozycję, żeby grać w karty na ul. Napiórkowskiego. Mieszkał tam dobry znajomy Piotra — elektromonter. Zajmował wraz z żoną i 17-letnim synem Longinem duże stosunkowo mieszkanie na drugim piętrze składające się z wielkiego pokoju i kuchni. Gdysmy umawiali się po raz pierwszy, ktoś powiedział:

— No, to spotkamy się u „pana Waclawa” — i tak już zostało potem do końca — w niedzielne przedpołud-

nia graliśmy w pokera właśnie u niego, na Napiórkowskiego.

Nie graliśmy grubo, ale i nie za tanio. Jeśli chodziło o mnie karta „walla” mi niesamowicie i nie było niedzieli, abym nie miał „karety” czy kilku fulli. Wygrywałem dość często, co mnie samego dziwiło, nie byłem przecież tak „nadziany” forsa jak choćby Roman czy Stefan, a wiadomo wszystkim, że w pokera wygrywa ten, kto siada do stolika z największą ilością pieniędzy. Przegrywał wtedy nawet sam gospodarz, choć nieraz prawie na siłę chciałem zmieniać wyniki gry, aby wygrał właśnie on. Staraliśmy się o to przez zwykłą wdzięczność za to, że nas zawsze bardzo gościnnie podejmował. Ale, jak mówię, nie udawało się to, bo gdy karta „walla” jak świnią, to na to nie ma rady.

Nie podobało mi się na tych spotkaniach pokerowych to, że z czasem trzeba było grać coraz to w innym składzie. Zdarzyło się tak właściwie dwa razy — te zmiany w składzie grających u pana Waclawa, ale to wystarczyło, że poczułem się nieswojo. Pewnej niedzieli na przykład nie zjawił się Piotr, a na jego miejsce przyszedł jakiś „pan Zenek”, którego przedstawił nam gospodarz. Innej znów niedzieli zabrakło Stefana, a że nikt nowy nie uzupełnił luki, więc graliśmy w czwórkę. Robiliśmy to niechętnie, gdyż naszym zdaniem najlepszy pokera jest w piątkę. Pan Waclaw obiecał nam jednak, że może kogoś zwerbować na piątkę, ale — jeśli sobie przypominam — do tego już nie doszło.

Muszę przy okazji wyjaśnić, że nad przyczynami zniknięcia Piotra i potem Stefana nie zastanawialiśmy się zbyt długo. Przyczyny mogły być zawsze różne i głośno się o nich nie mówiło. Człowiek musiał na przykład uciekać do guberni, bo dostał nagłe ostrzeżenie, albo ukryć się przed aresztowaniem, zawsze możliwym, gdy ktoś bliki wpadł w ręce gestapo. Te niespodziewane zniknięcia były na porządku dziennym, a ludzie dość szybko przyzwyczajali się do cudzej nieobecności. Nikomu nawet przez myśl nie przeszło, aby sprawdzić tak zwany „cynk” — przy jego sprawdzaniu nieraz można było wpaść w „kocioł” zorganizowany przez Niemców. Więc gdy pan Waclaw, witając się z nami, mówił:

— Piotrusz dziś nie przyjdzie, coś mu tam wypadło...

Takie wyjaśnienie musiało nam w zupełności wystarczyć. Podobnie gospodarz zawiadomił nas dwa tygodnie później o nieobecności Stefana. Przyjmowaliśmy słowa pana Waclawa za dobrą monetę i graliśmy dalej. Niektórych przyciągała już wtedy chęć „odbicia się”, gdyż przez kilka spotkań z rządu karta im nie szła, innych — pasjonowała pewność siebie i przekonanie, że właśnie im karta „walla” będzie nieprzerwanie.

Aż tu raptem któregoś wieczoru nad Łodzią ukazały się świetliste „choinki”. Oto nadciągająca wojska radzieckie oświetlały rakietami spadochronowymi niektóre rejony miasta, szukając skupisk niemieckiej wojska i ważnych strategicznie obiektów. A już dwa dni później weszły do miasta pierwsze



Fot. W. Parys

czolgi oddziałów wyzwalających Łódź. Chodziliśmy po ulicach jak pijani, odurzona nas wolność, każda godzina odchodziła szybko w przeszłość, bo stanęliśmy nagle na progu nowych, jakże oczekiwanych czasów. Fabryki rozpoczęły produkcję, piekarnie z „frontowej” mąki wypiekały chleb, wzywano do pracy przedwojennych urzędników magistrackich, by zajęli się uruchomieniem gospodarki komunalnej, ruszały pierwsze tramwaje. Szedłem takiego właśnie dnia pełnego upoju ulicą Piotrkowską, gdy nagle tuż przy Radwańskiej ktoś mnie zatrzymuje. Patrzę, a to pan Kujawski. Mieszkał niedaleko siebie na Chojnach, zaliśmy się jak lyse konie a raz to nawet odprowadził mnie na Napiórkowskiego, gdy szedłem na kolejnego pokera.

— No, co tam, panie Kujawski? — zapytał — już pan się gdzieś zapczepił?

— Nie, jeszcze nie, może wrócę na tramwaje.

— No pewnie, najlepiej tam, gdzie się już pracowało...

— Chyba. Ale... ale, byłbym zapomniat. Czy wie pan, kogo będą sądzić na placu Dąbrowskiego?

— W sądzie na placu Dąbrowskiego?

— Tak. Będą sądzić Waclawa R. Czytałem zapowiedź procesu.

— Co, tego elektromontera?

— Właśnie jego.

— Ale za co?

— Podobno, jak piszą, za zbrodnie przeciwko narodowi.

Pan Kujawski już dawno odszedł, a ja jeszcze stałem na rogu jak osu-pialy. Czulem się, jakby piorun we mnie strzelił, zachodziłem w głowę, zastanawiając się, co też „pan Wa-claw” miał na sumieniu.

Gdy nadszedł dzień rozprawy po-spieszyłem do sądu. Sala numer 1 na pierwszym piętrze, gdzie w owym czasie toczyły się najważniejsze procesy o przestępstwa objęte dekretem, była nabita do ostatniego miej-sca. Z wielkim trudem znalazłem nie-co luzu na galerii, w tyle sali. Wa-claw R. siedział na ławie oskarżo-nych, a ciszę sali przerywał tylko szloch kobiet zajmujących miejsca

przeznaczone dla świadków. Były to matki, siostry i żony tych, którzy jeszcze nie wrócili do domów. Już na sali sądowej było wiadomo, że wielu z nich nie powróci już nigdy, gdyż odpowiednio zawiadomienia o zgo-nie „na serce” niektóre rodziny zda-żyły otrzymać jeszcze przed wyzwo-leniem Łodzi. Bliższych tych kobiet, które teraz szlochały na sali, zadenuncjował w gestapo człowiek sie-dzący na ławie oskarżonych, nieudol-nie ukrywający swą twarz w klapach marynarki. Wśród tych kobiet były także krewnie naszych kolegów — Piotra i Stefana. Na ul. Anstadta, gdzie urzędowało gestapo, wkrótce po ucieczce Niemców, znaleziono dowody zdrady Waclawa R. — donosy, które spowodowały 27 aresztowań.

Nie będę przypominał przebiegu rozprawy sądowej. Wina oskarżonego nie pozostawiała wątpliwości, wyrok więc mógł być tylko jeden. Wycho-dziłem z sądu jak ogłuszony. Rozu-miałem żelazną, bezlitosną konsekw-encję prawa, elektromonter musiał ponieść karę. Dopiero teraz jednak poczęłem przypominać sobie pewne szczegóły dotyczące naszych kontak-tów. To nasz gospodarz, już po przy-witaniu się zadawał nam pytanie:

— Uszanowanie! A co tam znów mówi Londyn?

Co kto wiedział, lub usłyszał przez ukryte w piwnicy lub na strychu ra-dio — to mówił, nikt z nas ani przez chwilę nie pomyślał, że na te stereotypowe w okresie okupacji te-maty rozmawia ze szpiclem. Dopiero po rozprawie przypominałem sobie wyraźnie, że to właśnie Waclaw R. wyjaśniał „nieobecność” Piotra i po-tem Stefana. Nie przyszłi, bo już byli zadenuncjowani „za słuchanie wro-gich III Rzeszy radiostacji i antyhit-lerowska propagandę”. Raptiem wy-jawili mi się, ukryty gdzieś w pamięci epizod.

Gdy któregoś przedpołudnia nie-dzielnego usiedliśmy, by pograć, pan Waclaw nagle zerwał się od stołu i obrzucił leżącego na tapczynie syna stekiem ordynarnych wyzwisk. Gdysmy weszli chłopiec drzemał, bo jak się potem okazało, poprzedniego wie-czoru był na imieninach koleżanki,

a że wrócił późno — teraz próbował nieco odespać zaległość.

— Ach ty byku niechrzczone, ty łobuzie — wrzeszczał jego ojciec. Jak ci nie wstyd tak się wylegiwać przy obcych?!

Z kuchni wyjrzała zaniepokojona żona gospodarza, ale nie nie powie-działa. Chłopak podniósł się i z po-chyloną głową w zawstydzeniu gło-wą, wyszedł z pokoju. Przypomnia-łem sobie to teraz, chociaż owego dnia ta scena nie zrobiła na nas większego wrażenia. — Zdenerwował się stary — pomyślałem wtedy tasując karty przed kolejnym rozdaniem. — Zły jest, bo mu ostatnio nie idzie... Ale teraz to drobne na pozór wydarzenie nabierało dla mnie jakiegoś maka-brycznego sensu. Do takiego nagłego wybuchu mógł być na ogół zdolny ktoś, kto ocenia swe dziecko i jego zachowanie według jakichś nadzwyczajnych, bardzo ostrych kryteriów. A tę nieprzeciętną ocenę stosujemy zazwyczaj wobec rzeczy najdroższych. Na kilkukaratowym brylancie naj-drobniejsza skłama oznacza ogromną stratę. W odczuciu Waclawa R. jego syn musiał widocznie nabrać cech ideału, jeśli wyprowadził go z równowagi taki drobny w zachowaniu. Drobiazg, a ile go — Waclawa R. — musiał kosztować! Staralem się to zrozumieć, gdyż w czasie procesu ujawniony został pewien szczegół. Otóż Waclaw R. podpisał zgodę na współpracę z gestapo jedynie — jak zeznał — za uwolnienie swego syna z Radogoszcza.

Próbuję więc, jak z tego widać, znaleźć jakieś psychologiczne uzasad-nienie pewnych faktów. Nie udaje mi się jednak w żaden sposób wytlu-maczyć swego rodzaju „gestu” uczy-nionego przez szpicla. Zadenuncjował Piotra, zadenuncjował Stefana, ale dlaczego oszedł mnie? Może mia-łem być tym trzecim? Może to tylko niespodziewana dla wielu Niemców ucieczka z Łodzi w styczniu 45 roku sprawiła, że nie zdążyłem znaleźć się na formularzu z donosem?

POCZTA LITERACKA

Jan Bach P. Łódź. Jeśli Pan przypuszczał, że dam się nabrać i ten żarcik potraktuję, jak większość nad-syłanych mi wierszy, poważnie — głęboko się Pan mylił. Niech czytel-nicy osądzą sami. Pisz Pan:

„W tej kawiarni siedzieli obo-jętni

Nie weseli nie namiętni
za zaś nigdy nie pamiętni
To ich słowo zawsze międlili (...)

Aby grzechy swoje zmazać
Odprawimy wnet pokuty.
Co stwierdziwszy siedli
Wołając diabła Borutę
Myśląc, czy warto porutę
Tak poświęcać. Szkoda pieśni!”

Tak jest. Szkoda pieśni, gdy „słowo zawsze międlili”.

F. Zaj. Łódź-Widzew. Nie można Pa-nu odmówić pasji, ale o co Pan kru-szy kopie (pióro)? Nie chce się Pan zgodzić, że na gruzach „sadyb pra-rodziców” zbudowano nowe osiedla? Rozumien sentymenty, ale „trzeba z żywym naprzód iść”. To także sło-wa poety.

„Ktoś nie śpi, żeby spać mógł ktoś” — tak napisał poeta Szekspir. Można to strawstować: „coś trzeba zburzyć, żeby można zbudować od nowa”. Na-

prawdę nie jestem przekonany, że w imię patriotyzmu trzeba z żywego miasta robić skansen XIX-wiecznych domów.

Krzysztof S. Bydgoszcz. W powodzi wierszy świadczących tylko o do-brych chęciach autorów — nareszcie jakaś świadomie realizowana poezja. Mogą się Pańskie wiersze podobać lub nie, ale konsekwentnie buduje Pan swój poetycki świat. Pelen nie-pokoju, niepewności, zmagania się ze słowem — ale jakiś autentyczny świat. Pisz Pan:

„dzisiaj rano byłem chyba poetą:
wyprowadziłem na malinowym sznurku

słońce przed okno
a źrenice moje
prześląły się bać słów
— zacząłem wypas wierszy
w chmurach”.

Najbardziej podobają mi się wiersze: „Piosenka”, „Młodszy referent poetycki”, „Metafora”.

M. G. Łódź. Ogromnie wiele wzru-szenia i uczucia zmieszcza Pan w swoich wierszach, ale, niestety, w re-alizacji wyszło to wszystko bardzo nieporadnie. Niech Pani sobie głośno przeczyta swoje wiersze i zastanowi

się czy to jest to, o co Pan w chwi-li pisania chodziło. Wiersze można, a nawet trzeba, pisać w jakiejś „pod-wyższonej temperaturze uczuć”, trze-ba jednak za jakiś czas spojrzeć na ten wiersz chłodno i obiektywnie. Wtedy wychwyli Pan naiwność, potknięcia i nieporadność. Myślę, że z tego Pan „poezjowania” powinno coś wyniknąć, ale tylko pod warunkiem, że starczy Pani uporu i cierpliwości. Wiersze „zapalał świecę” i „dam ci las...” zdają się świadczyć o wrażli-wości autorki, ale to nie wystarczy. Trzeba wiele jeszcze przeżyć i prze-czytać. Bez tego nie ma poezji.

Wiesław K. Łódź. Proponuje Pan: „czy „Odgłosy” nie mogłyby na swoich ła-mach urządzić pewnego rodzaju jar-marku wierszydeł i twórców wierszo-podobnych z wytknięciem i wykpie-niem złych stron i słabości. To by podziało jak przyszłowiowy zimny prysznic na głowy wszystkich tych, którzy próbują bez uzdolnień w tym kierunku klecić jakieś twory, ich zdaniem poetyckie...”

Proszę Pana, kpić zawsze najłat-wiej, ale uciekam się do kpiny tylko w ostateczności. Dla każdego autora wiersz stanowi jakieś przeżycie, jest częścią własnego ja... Uzdolnień też nie da się zmierzyć centymetrem. W sumie: żarty z nadsyłanych wierszy nie są rozwiązaniem najuczciwszym. Dlatego staram się autorów (nawet tych bez szans) traktować poważnie.

Dotyczy to również Pana. Wiersz „Łódzki rytm” idealnie nadaje się do wykpienia, ale ja zajmę się drugim, który, choć banalny, zamyka w sło-wach jakieś autentyczne przeżycie czy wspomnienie. Niedobrze jednak że w tym — współczesnym przeze-ł — wierszu pobrzmiwają echa Mło-

deja Polski. Z drugiej zaś strony sto-suje Pan przekorną prozaizację („Ko-niak w kielskach — cholera drogi”) obok tradycyjnie romantycznych „cy-kad”, „pólcieni”, „pólblasków”, „rzes”, „warg”... itp. Trzeba się zde-cydować na jedną konwencję.

KRYTYK



Fot. Archiwum



Fot. Archiwum

Ten teatr nie został powołany do życia aktem, urzędowym, nie towarzyszyło jego narodzinom głowienie się nad ilością etatów, zatwierdzenie planów repertuarowych i analizowanie kosztów. Nie ma dyrektora, głównego księgowego, ani administracji. Powstał z chęci i woli grupy aktorów scen warszawskich, ożywionych wspólną ideą, którzy swój wolny czas, jaki im pozostaje po wypełnieniu obowiązków w macierzystym, profesjonalnym teatrze, postanowili wykorzystać nie na chatury, lecz na żywy, bezpośredni styk z odbiorcami sztuki teatru.

Rozmawiam z Haliną i Janem Machulskimi — małżeństwem aktorskim, które zainicjowało imprezę znaną dziś pod nazwą Teatru Ochoty i stanowi jego główną siłę motoryczną. Machulscy od dawna nie są zadowolonymi z pełni zawodowy teatr, w którym widownię traktuje się jako zbiorowisko przypadkowych ludzi, jako nie zidentyfikowaną masę bez twarzy. Pierwszych prób bliższego dotarcia do publiczności dokonywali w Lublinie, potem w Łodzi, gdzie pracując w latach 1963—66 w Teatrze Nowym, organizowali spektakle teatralne w Klubie MPiK i w zakładach pracy.

Po przeniesieniu się do Warszawy (J. Machulski pracuje jako reżyser i aktor w Teatrze Narodowym) zgłosili się do Dzielnicego Domu Kultury na Ochocie z propozycją powołania do życia stałego teatru. Kierow-

nictwo DDK przyjęło ten projekt z ochotą (nazwa dzielnicy działała na wszystkich zachęcająco, stała się zawołaniem całej imprezy), ale i nie bez zakłopotania.

— Po pierwsze — mówiono — nie mamy na ten cel żadnych funduszy.

— To nic. — odpowiedzieli Machulscy — Wraz z grupą kolegów — aktorów pracować będziemy społecznie. Perspektywa zintegrowania się z bywałcami waszego DDK i wspólnego z nimi przeżywania wrażeń teatralnych jest dla nas bardziej pociągającą od honorariów.

— Po drugie: nie mamy sali ze sceną.

— To właśnie lepiej, bo chcemy zredukować do minimum podział na wykonawców i widzów, na czynnych i biernych. Z trwałego zespolenia wszystkich uczestników widowiska winna się zrodzić nowa, pożądana atmosfera teatralna.

— Po trzecie: nie możemy od byłowców DDK ścigać opłat za bilety.

— Świetnie. Niech nasz teatr będzie bezpłatny! Nie boimy się nawet słowa: darmowy. Nie chcemy, by ktokolwiek trafił do nas wiedziony snobizmem, wkupywał się do naszej społeczności teatralnej za pieniądze. Niech i widz kieruje się wyłącznie ochotą!

I tak się zaczęło. W październiku 1970 r. Teatr Ochoty wystartował z pierwszą premierą, przedstawieniem „Uciekła mi przepióreczka” Zerom-

NA OCHOCIE I Z OCHOTY

skiego. Odbędzie się nie w DDK, ale w budynku jednej ze szkół na Ochocie. Publiczność i aktorzy zasiedli w tych samych ławkach szkolnych, tuż obok siebie. „Ta bliskość — napisze później w liście widz przedstawienia Danuta Dragan — ten niemal fizyczny kontakt z aktorami powoduje, że w pewnym momencie przestajemy odczuwać nierealność, umowność toczącej się akcji. Od obserwowania fikcyjnych postaci i ich fikcyjnych dylematów przechodzimy niepostrzeżenie do angażowania się w ich sprawy. I problemy, które przed bohaterami stawia autor, stają się problemami, które przed każdym z nas może postawić życie”.

Wybór pierwszej pozycji repertuarowej w dwojakim sensie określa zamierzenia ideowe Teatru Ochota. Przede wszystkim dlatego, że nadzrędną ideą utworu jest konflikt moralny. „Pragniemy pokazać — stwierdza Zespół Teatru Ochoty — jak człowiek może przerastać sam siebie, jak może być piękny w dokonywaniu wyrzeczeń na rzecz ogółu, bez świadków i bez poklasku”. Po wtóre jest coś pokrewnego w misji docenta Przełęckiego z „Przeziębłki” (grał go J. Machulski) z działalnością społeczno-kulturalną podjętą przez Teatr Ochoty. Inne czasy, inna sytuacja, ale podobna pasja społecznikowska.

Sprawa postaw moralnych i trudnego ich wyboru przyświeca następnym premierom teatru. Na tej linii repertuarowej mieści się „Montserrat” Roblesa, „Czarownice z Salem” Millera, czy „Śmierć gubernatora” Kruczkowskiego. Teatr rozpatruje w ten sposób wraz z widzami dramatyczne sploty, które mają odniesienie wprost do doświadczeń życiowych i do sytuacji, wobec których znaleźć się może każdy człowiek.

Przedstawienia rozpoczynają się zwyczajnie. Aktorzy wchodzi na scenę, zaczynają mówić tekstem sztuki. Wcielając się w postacie, nie oddalają się od rzeczywistego kontekstu, lecz jakby przedłużają rzeczywistość ku pewnym sytuacjom krańcowym i je interpretują. Gdy wybrzmia ostatnie słowa tekstu, wykonawcy wdają się niemal natychmiast w dyskusję z widzami na temat problemów sztuki i przedstawienia.

To niewyaktentowanie przejścia od fikcji do rzeczywistości ma wszelkie cechy programowości. Nie chce się podzielać na to, co jest teatrem, i to, co jest życiem. Wrzeszenia i re-

fleksje ewokowane przez przedstawienie weryfikowane są doświadczeniem życiowym. Spontaniczne, często wielogodzinne rozmowy z publicznością stały się trwałą tradycją Teatru Ochoty, inspiracją dla artystów, poszerzaniem wiedzy o teatrze, i nie tylko o teatrze, przez uczestników.

Przedstawienia Teatru Ochoty odbywają się w DDK przy ul. Reja 9, ale także w szkołach, zakładach pracy i świetlicach. Wszędzie tam, gdzie teatr bywa zapraszany. Ukształtowała się już wierna widownia. Aktywnych widzów, zwłaszcza młodzież, przyciąga się do pracy w Kole Miłośników Teatru. Członkowie tego koła pełnią dyżury, dopomagając w pracach organizacyjnych teatru. Ale nie tylko. Role Romea i Julii w najnowszej premierze powierzono właśnie młodym członkom Koła. Już drugi rok z rzędu organizuje się dla członków Koła obóz letni w Niedzicy, połączony z prelekcjami o teatrze i interesującymi spotkaniami.

Zespół Teatru Ochoty stanowią aktorzy zawodowi (obok Machulskich m. in.: H. Czengery, J. Nowicka, M. Żabczyńska, W. Alaborski, T. Bogucki, S. Jaśkiewicz, R. Fiekarski, Z. Wardejn, K. Wilanowski) oraz studenci PWST. Od niedawna patronat nad teatrem objęła Stołeczna Estrada. Odtąd aktorzy otrzymują minimalne stawki za występ. Próby, praca reżyserów, scenografów i spotkania zespołu z publicznością wykonywane są społecznie. Reżyseria wszystkich wystawionych dotąd sztuk spoczywała w ręku Machulskich.

Efekt 3-letniej działalności teatru dzięki klarownej koncepcji jest wyczuwalny. Eksperyment Teatru Ochoty wyrósł z zapalu i wiary w nieprzeżycie się instytucji teatru. Dlatego zasłużył sobie na baczną uwagę.

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI



Danuta Muszyńska-Zamorska „Portret dziewczynki”

ANDRZEJ SZONERT

POLEMIKI

POCHWAŁA SZTUKI

Gdy udajemy się na koncert, do kina czy do teatru, z reguły nie jesteśmy w stanie przewidzieć, jakie będziemy mieli sąsiedztwo. Sąsiad gadatliwy, komentujący, Szeleszczący papierkami od cukierków. Wrzeszczący sąsiad ryczący ze śmiechu w momentach najmniej właściwych może obrzydzić każdy spektakl.

Oddając artykuł w ręce redaktora mamy do czynienia z podobnym zjawiskiem. Tyle, że sąsiedztwo odbywa się na arkuszu papieru takiej a takiej i o takiej a takiej gramaturze. Mój sąsiad w jednym z poprzednich numerów „Odgłosów” — Stefan, Kubiński — namiętnie szeleszcil papierkami, których wartość pragnie osłodzić smutne, jesienne dni publiczności zwiędzającej wystawy.

Pragnienie to podszeptało mu kilka nienowych pomysłów i kilkanaście zadań niezbyt racjonalnych. Między innymi — wiele spodziewa się po odrzuceniu przez artystów „kostiumów”; nawołując do radosnego ekshibicjonizmu, który według wspomnianego autora ukazałby szczerą (i jak sądzi) nieklamana prawdę. Skuteczność takiego zabiegu wydaje mi się tyleż zbitna, co najdelikatniej mówiąc — wątpliwa.

Przekonanie to biorę z własnych doświadczeń i obserwacji. Gdy zimą 1972 roku otwierałem swoją wystawę w paryskiej galerii Suzanne de Coninck, pewien kontestujący młody aktor, pragnąc wyrazić swój stosunek do obowiązujących zasad, postanowił nago spacerować się po stole. Spacer kontestacyjny odbył się wśród kielszków i sałatek. Jedynym poruszeniem, jakie wywołał, było szybkie zasunięcie zastawki okiennej przez usługujących kelnerów.

Nagość ciała na paryskich artystów wywarła podobne wrażenie, jakie na nas czyni przejeżdżający ulicą „Trabant”. Możliwość ponownego ubierania się

był nieproporcjonalny do efektu. Nie sądzę, aby manifestacja ta wzbogaciła obecnych o nowe doświadczenie, poszerzając ich wyobrażenia o współczesnym świecie. Była li tylko przedłużeniem codziennych zdarzeń tego typu, dostępnych dla każdego w okolicach Bulwaru de Clitchey i Placu Pigalle. Wnioskuje, że „naga prawda” może być równie banalna i bezsensowna, jak jej odmiana w garniturze.

Nagość w naszym klimacie jest równa grypie.

Zadnemu monarchiście nie jest miły okrzyk „Król jest nagi!”, gdyż konsekwencją jest republika.

Powszechnie wiadomo, że najbardziej szczerzy w swych wypowiedziach są ludzie naiwni. Gotów jestem przyjąć za kład, że znacznie więcej rzewnych łez wylał przy pracy jarmarczny malarz nimf i lirycznych łabędzi, aniżeli Petrarka pisząc swe, miłosne sonety do Beatrycze. Niemniej nie sądzę, aby znalazł się rozsądnie myślący człowiek przedkładający szczerłość pierwszego nad doskonałość drugiego. Nieklamana szczerłość jest przywilejem malarzy prymitywnych, którzy w naszym wieku zrobili karierę niestychana. Przerafinowana Europa Zachodnia od czasu Celnika Rousseau odkryła dziesiątki takich malarzy. Nieraz są to odkrycia wielce naciągane. Styl „naiwny” stał się uznawany, obowiązującym i należy do towaru szczególnie poszukiwanego. Niektóre galerie paryskie specjalizują się w sprzedaży tej sztuki. Lansują ją natomiast absolutnie nie naiwni krytycy, zaspokajając potrzeby sfrustrowanej klienteli. Kult malarza-głuptaka sieje spustoszenie.

Świat lepiej zna polskiego artystę, a nalfabetę Nikifora, aniżeli polskiego artystę-nawatora Strzemińskiego. Jest w tym jakiś pierwiastek irracjonalny, z którym zgodzić się trudno.

Długoletni spór między tymi, którzy chcą ubierać, a tymi, co pragną obnażyć, trwa. Okresowi klasycyistycznego kultu rozumu i organicznego ładu dzieła przeciwstawiał się romantyzm ze swą idealistyczną koncepcją posłannictwa artysty, spontaniczności i pewnej „naiwności”. Młoda Polska tak spowiła artystę w pelerynę, że był podobny do niezmięskiej, uduchowionej i beczelnej zjawy. Boy-Zeleński wykonał ciężką i niewdzięczną pracę wymotania go z nadmiaru szat i aureoli, gdyż tego wymagał zdrowy rozsądek. Znaleźli się również „obrazowicze”, którzy tak przejęli się funkcją obnażania i odzierania, że z brązowych pomników zostały na cokółkach maleńkie karzełki. Po latach, pełni już rozwoju, pogłowieni ówczesnych emocji, możemy ponownie ocenić ich wielkość lub małość. Taka jest dialektyka historii.

Pewien malarz, którego twórczość bardzo sobie cenim, był na tyle nierozważny, że „obnażył się” intelektualnie we wstępie do swego katalogu. W poplochu przeczytałem nieskładne wymurzenia człowieka, który chciał być filozofem, gdyż, jak sądzę, nie wystarczało mu być tylko malarzem.

Nadal mam dobre zdanie o jego twórczości. Nie mam natomiast dobrego zdania o jego przygotowaniu humanistycznym. Stąd też przedkładam niejednokrotnie sądy teoretyków nad intymne wypowiedzi artystów.

Gdyby ktoś ze współczesnych Cezanne'owi poinformował go o dokonanych przezeń rewolucyjnym odkryciu, to nie zrozumiany przez artystę, co najwyżej usłyszałby kilka ciepłych epitetów. Cezanne, wedle własnych słów, pragnął: „nadać impresjonizmowi solidność i trwałość sztuki muzeów”. Podczas gdy cała jego twórczość była zaprzeczeniem impresjonizmu, o czym sam w pełni nie wiedział.

Sztuka najaktualniejsza postawiła sobie za zadanie wyjść z produktem przemysłowym, z jego perfekcyjną doskonałością i wyjść ten przegra, o ile nie uświadomi sobie odmienności celów i determinant. Wielcy i rozumni artyści (np. Xenakis, Schoeffler) nie chcą być lepsi od komputerów i laserów, lecz czynią je postulazym narzędziem swej pracy twórczej.

Polscy artyści w swej codziennej praktyce niewiele mają do czynienia z elektroniką, tworzywami sztucznymi. Prawdę powiedziawszy aż dziwię się, że rodzime dzieła sztuki kinetyczno-wizualnej nie powstają z desk i słomy, które to materiały są ogólnie dostępne. Jest to oczywiście żart, ale dosyć gorzki. Wskutek braku materiałów przemysłowych odbywa się ich nienaturalne imitowanie. Zie sklezione sklejkę, pudła z piłni ręcznie malowane, warczące silniczki adapteru „Bambino”, blachy srebrzone „na aluminium”. Wszystko wykonane systemem „sobieradek”.

Gdyby nasz konceptualizm był ucieczką przed trudnościami materiałowo-materialnymi w sferę idei, to można by go uznać za zjawisko naturalne i logiczne. Neoplatonicyz Syneios z Tyreny, przedstawiciel retoryki, w odpowiedzi na księgę innego retoryka pt. „Pochwała włosów” napisał „Pochwałę łysiny”. Jak się można domyślać, filozofowie mieli odmienne zdanie na temat, czy włosy są ozdoba męskiej głowy — czy nie. Obaj udowadniali swych tez najwyszukaszym językiem, prawdopodobnie nie dopuszczając możliwości przekonania adwersarza o swej racji.

Moja pochwała sztuki bez ekshibicjonistycznego neglizmu jest jednocześnie pochwałą zdrowego rozsądku, który każe brać rzeczy takimi, jakimi są.

Trzeba przy tym pamiętać, że tylko pozornie „suknia nie zdobi człowieka”. Kto widział plaż nudystów, ten zapragnie wyróżnić się chociażby zawiązaniem na szyi krawatu.

* * *

W SPRAWIE KŁĘBKA SZPAGATU

W „Odgłosach” ukazały się spostrzeżenia Karola Barszczewskiego „Co w awangardzie piszczy”. W swoich rozległych wywodach Pan Karol zauważył — „w działaniach awangardzie natykamy się na mnogość sprzeczności i nieporozu-

mień. Dlatego nawet my, profesjonalisci, stajemy czasem bezradni wobec prezentowanych sformułowań i dokonań.”

Bezradność Pana Karola rośnie i dalej deklaruje ją czytelnikom.

„Więcej, jestem gotów uznać za dzieło sztuki puszczone do góry nogami fragmenty filmu Eisensteina „Pancernik Potiomkin”, strzępywać popiół w usia krzyżującą matki, ale pod jednym warunkiem: muszę znać prawdę”.

Prawda jest oczywiście mniej bezradna od Pana Karola. Fragment filmu, o którym mowa, został puszczonej na werniszu do góry nogami przez pomyłkę operatora obsługującego projektor. Wystarczyło być tam obecnym, aby się o tym dowiedzieć. Obecny tam był Andrzej Grun, który jednak jakby w myśl głoszonych przez Pana Karola przekonań „o bezradności profesjonalistów” zaraz na początku spotkania przeniósł się do drugiej sali. Boję się więc, że i on nie będzie mógł dać świadectwa prawdzie, o którą tak zabiega Pan Karol.

Zresztą przyrodzony Panu Karolowi dowcip bierze w pewnym momencie górę nad szlachetnym obiektywizmem i autor „Co w awangardzie piszczy” zaczyna czytelników zabawiać z pełnym szacunkiem:

„... to (mimo szacunku dla poczynań rodzimej awangardy) zastanawiam się, dlaczego wysokość zamieniono tu na długość? Czy długość była tu początkiem wysokości? Czy wysokość powodem długości? A może skłębienie jest tu naturalnym następstwem wywyższenia i przypominano mi w ten sposób, podsuwając mi pod nos kłębek...”

Oczywiście, nikt Panu Karolowi kłębka pod nos nie będzie podsuwał, postarali się już o to łodczy bossowie ZPAP, załóżąca Galerii Adres pokoi w piwnicy z nowym przeznaczeniem na komórkę dla swoich pupili. Możemy więc spróbować odpowiedzieć na pytanie, które dręczy Pana Karola.

„Do kogo zaADRESowany był więc ów kłębek szpagatu...”

Na pewno nie do pupilków.

CZESŁAW K. BORKOWSKI
(Łódź)

ECHO PORWANIA CZOMBEGO

Wydawałoby się, że od śmierci Czombego, samozwańczego władcy Katangi (zmarł w Algierii), zamknęła się na zawsze jedna z najbardziej ponurych kart historii wyzwolenego Afryki. Ale oto niedawno znowu pojawiło się na łamach prasy światowej. Szwajcarski sąd najwyższy przychylił się do prośby rządu hiszpańskiego o wydanie niejakiego Francisca Bonenana. Pod tym nieznaczącym nazwiskiem ukrywał się człowiek, który zorganizował porwanie brytyjskiego samolotu odrzutowego, którym leciał Czombe. Samolot ten, z 9 pasażerami na pokładzie, zdał 30 czerwca 1967 roku z Hiszpanii do Włoch, gdzie Czombe miał ważne spotkanie. Nieoczekiwanie, dwóch pasażerów sterroryzowało kapitana samolotu, nakazując mu oddać ster drugiemu pilotowi, który prawdopodobnie był w zмовіe z porywaczami. Samolot wylądował na wojskowym lotnisku, niedaleko od stolicy Algierii. W tym czasie podobno nikt nie mógł wyjaśnić wszystkich okoliczności porwania, a przede wszystkim ujawnić nazwisk ludzi, którzy za tym stali. Jak często bywa w podobnych wypadkach, fantastycznym wersjom i hipotezom nie było końca. Wiadomo tylko jedno: duszą spisku był Francis Bonenan. Ten był krupier, Francuz z pochodzenia, od wczesnej młodości był tzw. swoim człowiekiem w szeregach francuskiego wywiadu, z którego wywodzi się agencja służb specjalnych, przemysłowa i polityczna awanturka małego wymiaru. Mówiono, że małczył palce w sprawie Ben Barki, będąc w tym czasie agentem francuskiego kontrwywiadu. Zapłać za te cennie sprawki było więzienie. Po odsiedzeniu kary 10 lat więzienia, Bonenan wiele podróżował po Europie, aż wreszcie w Hiszpanii udało mu się znaleźć zaufanie kafa narodu kongijskiego, M. Czombego. Czym zakończyła się ta „przyjaźń” — wiadomo. Oczekując na wydanie władzom hiszpańskim, Bonenan... zniknął z więzienia, nie wiadomo jak i kiedy...

(„Jeune Afrique”)

PIEKŁO EGZAMINÓW

W Japonii samobójstwa popełniają w większości ludzie młodzi, a ich nasilenie wiąże się z ogłoszeniem wyników egzaminów konkursowych na uniwersytety. Obecny system, zwany ogólnie „piekłem egzaminów”, jest prawdziwym rakiem, który toczy wyższe szkolnictwo japońskie. Każdy uniwersytet ma własny egzamin konkursowy, który jest jedynym kryterium przyjęcia na uniwersytet. Kandydat, który przystępuje tylko do jednego egzaminu konkursowego, należy do wyjątków. Niekiedy absolwent szkół średnich próbuje szturmować po kilka wydziałów jednocześnie. Oto dlaczego ogólna liczba egzaminów konkursowych na uniwersytety japońskie jest najwyższa w świecie.

Inną specyfiką japońskiego systemu nauczania są tzw. „spaleni”, nieszczęśliwi kandydaci, którzy próbują szansę po raz drugi, trzeci, aż do skutku. Renomowane uniwersytety w Tokio i Kioto są obleżane przez „spalonych”, a wielu spośród nich już od dziesięciu lat zgłasza swoje kandydatury do egzaminów konkursowych.

Wydaje się, iż Japonia ma wyjątkowo na ten niezwykły fenomen. Szkoły dla „spalonych” (nie uznawane oficjalnie), przepelnione jak ule, są rozproszone po całym kraju. Nauczają się w nich unikalnego przedmiotu: „techniki zdawania egzaminów”.

(„Japan Quarterly”)

UNIKALNE MUZEUM

W Neapolu udośćpiono publiczności słynne tajne muzeum. Zamknięte 200 lat temu przez bogobojnych Burbonów, zostało otwarte na bardzo krótko, w 1860 roku przez Garibaldię. Tylko wyjątkowo uprzywilejowane osobistości miały dostęp do tajnej sali muzeum, w której przechowywano 250 dzieł sztuki o tematyce erotycznej, należących ponoć do cesarza Tyberiusza i poety Horacego. Goering, który muzeum także oglądał, kilka z tych dzieł „umięścił” we własnym domu. Odnaleziono je po wojnie. Tylko Watykan posiada tajne muzeum, bogatsze od muzeum w Neapolu.

(c)

„Możesz pracować, gdzie tylko zechcesz” — to jedna z „głównych zasad” Wspólnego Rynku. Ale rzeczywistość bardzo daleko odbiega od idealów. Robotnicy — imigranci, przybywający do krajów wchodzących w skład Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej, stanowią osobną kastę ludzi, wykonujących najbardziej niewdzięczną i ciężką pracę.

NOWY TOWAR:
SIŁA
ROBOCZA

We Francji i Zachodnich Niemczech na przykład, jak donosi „Sunday Times”, kwitnie biznes „kupna — sprzedaży” nielegalnych imigrantów, znajdujących się nieomal w położeniu niewolników. Ogromna armia zagranicznych robotników jest siłą roboczą tania i łatwą do pozbycia. Jednakże robotnicy-imigranci uczą się już walczyć o swoje prawa, protestują przeciwko spychaniu ich do najgorszych i najmniej opłacanych prac fizycznych. Właśnie taki charakter miały niedawno strajki w zakładach „Renault” oraz brytyjskich i zachodniemieckich kompaniach przemysłowych.

Staje się coraz bardziej oczywiste, iż imigracja tego rodzaju jest zjawiskiem statym i pociąga za sobą poważne ruchy społeczne. Głosy żądające „odestania ich do domów” są skazane na niepowodzenie z racji potrzeb systemu ekonomicznego krajów EWG. Optymiści natomiast wyobrażają to sobie jako rodzaj swoistego europejskiego tygla narodowości, na podobieństwo konglomeratu narodowości, który ukształtował swego czasu Stany Zjednoczone A. P. Bardziej trafne byłoby tu użycie określenia „kipiącego kotła”, który osiągnął stan wrzenia.

Obecnie, gwałtowny i nierównomierny rozwój państw kapitalistycznych stwarza nowe formy zależności, ale nie odbiegające w swej treści od „starych”, istniejących w kolonializmie. Neokolonializm przejawia się nie tylko w politycznej i ekonomicznej zależności, ale także w wabieniu siły roboczej z mniej rozwiniętych

krajów kapitalistycznych. „Zapewnienie pracy bezrobotnym”, podnoszone jako wielkie dobrodziejstwo, w istocie rzeczy przekształca się w jawną eksploatację. Masowy najem zagranicznych robotników pozwala wielkiemu kapitalowi wyrzucić za burtę wszelki „balast” społeczny w postaci szkół, przedszkoli, nauki zawodu, usług kulturalnych i tak dalej, zmieniając tę całą „oszczędność” w bręczącą monetę. Właściciele fabryk i kompanii przemysłowych NRF, Zachodniego Berlina, Francji, Belgii, Szwajcarii — traktują zagranicznych robotników jako źródło dodatkowych zysków. Dostawcą towaru pod nazwą „siła robocza” są przede wszystkim kraje peryferie Europy, gdzie liczba bezrobotnych jest szczególnie wysoka i gdzie żyją w krańcowej nędzy.

Korzystanie z zagranicznej siły roboczej stało się drugą naturą jakiegobądź zachodnioeuropejskiego biznesmana. W NRF na przykład, za pośrednictwem Federalnego Urzędu Zatrudnienia zorganizowanie przyjazdu zagranicznych robotników jest równie proste jak zamówienie surowca. Trzeba tylko udowodnić, że na miejscu nie ma siły roboczej i uiszczyć opłatę w wysokości 400 marek od głowy. Resztę załatwia Federalny Urząd Zatrudnienia, który werbuje robotników za pośrednictwem swoich stałych przedstawicielstw, które pracują w ścisłym kontakcie z rządami ośmiu krajów, położonych nad brzegami Morza Śródziemnego.

Każdego dnia w ciasnych pomieszczeniach zachodniemieckiego punktu werbankowego w Stambule zbiera

się około 700 tureckich mężczyzn i kobiet. Przychodzą tutaj, żeby usłyszeć, jakoby „pracująca emigracja”, możliwa dzięki porozumieniu, zawartemu między rządami NRF i Turcji, może być dla nich „wyjściem z katastrofalnych warunków życiowych”, na które jest skazana przeważająca część narodu tureckiego.

Kandydatów poddaje się oględzinom, jak przy kupnie koni, żeby stwierdzić: nadają się, czy nie? Kto przebrnie przez magiel lekarski — trzydziście procent kandydatów odpada — musi przejść egzamin przydatności zawodowej. Prowadzą go urzędnicy agencji werbankowej, a często także przedstawiciele zachodniemieckich monopolii. Szczególną skrupulatnością odznacza się konsern „Siemens”.

Agencja Prasowa z Düsseldorfu zwraca uwagę na fakt, że w wielu obszarach w Turcji posiadają majątki ziemskie w urodzajnych dolinach rejonów nadmorskich, gdzie istnieje wszelkie przesłanki na rozwój intensywnej gospodarki rolnej. Do 3800 właścicieli ziemskich należy najlepsza ziemia, podczas gdy milionowa armia bezrobotnych chłopów musi pracować na plantacjach, lub dzierżawić działki, oddając właścicielom połowę zbiorów. W tej sytuacji, dla rządu w Ankarze włączenie ponad pół miliona bezrobotnych i bezrobotnych w nurt nieustannie migrującej do NRF armii zagranicznych robotników jest ważkim posunięciem politycznym. Za granicę wyjeżdżają w pierwszej kolejności ci którzy, z punktu widzenia ich wieku, położenia socjalnego i innych przyczyn „stanowią niebezpieczeństwo wybuchu” w tureckim „kotle parowym”. „Pracująca emigracja” pozwala na obniżenie ciśnienia w kotle. Turcja, obok Hiszpanii, Portugalii i Grecji, jest jednym z głównych dostawców zagranicznych robotników do rozwiniętych krajów Zachodniej Europy. Jest tajemnicą polityczną, że „pracująca emigracja” jest jedną z najważniejszych dźwigni ekonomicznych tych krajów.

Grecja — kraj wspaniałych zabytków sztuki antycznej i jednocześnie kraj nędzy. Ekspertki tzw. Międzynarodowego Banku Rekonstrukcji i Rozwoju zaliczają Grecję do liczby głównych dostawców tego osobliwego „towaru”, jakim są robotnicy. Z kolei jednym z największych jego „odbiorców” jest Niemiecka Republika Federalna. W zakładach przemysłowych wielkich zachodniemieckich koncernów, w niewielkich fabrykach, w szpitalach, a także po prostu na ulicach miast pracuje dziś w NRF ponad 300 tysięcy mężczyzn i kobiet z Grecji. Liczba ich zwiększa się wolno, ale nieustannie. Jednakże ostatnimi czasy wartość tego „towaru”, którym do niedawna Grecja handlowała w detalu po niskiej cenie, poszła w górę, jako że władze greckie doszły do wniosku, iż wygodniej jest eksploatować tanią siłą roboczą na miejscu, niż sprzedawać ją za granicę. Obiek-

tem „handlu” są przede wszystkim robotnicy niewykwalifikowani, z zafobanych prowincji rolniczych na północy kraju.

W Sewilli mówi po niemiecku większa część ludności pracującej, ponieważ połowa ze 180 tysięcy hiszpańskich robotników w NRF pochodzi z południa Hiszpanii. Ze spisu jednego z zachodniemieckich urzędów w Norymberdze wynika, że w 1971 roku do Niemiec Zachodnich wyjechało 29.448 Hiszpanów. Jednakże „emigracja pracująca” nie tylko nie rozwiązuje w Hiszpanii politycznych, ekonomicznych i socjalnych problemów, ale przeciwnie, jeszcze bardziej je zaostrza.

Portugalia jest najbardziej skromnym dostawcą „siły roboczej” do NRF. Niemniej, w przeciągu ostatnich 20 lat około 2 miliony Portugalczyków opuściło swój kraj w poszukiwaniu pracy.

Talle Helifi, marokański robotnik w średnim wieku, gnieździ się wraz z żoną i dziećmi w dzielnicy biedoty na peryferiach Paryża. Nawet przedstawiciele władz francuskich nazywają te dzielnice „gettem subproletariatu”. Każdy co siódmy zagraniczny robotnik we Francji jest „niebezpieczny” jako element polityczny. Przy czym jest to znamienne nie tylko dla Paryża, ale także dla Marsylii, doliny Rodanu, aż do przemysłowego Lyonu. Nieustannie wybuchają starcia między imigrantami a prawniczymi ekstremistami, którzy zdają ich wydalenia z Francji. Władze francuskie zareagowały wydaniem drakońskiej ustawy, zezwalającej na ekspulsję imigrantów, którzy nielegalnie przybyli do Francji. Ale i bez tego położenie zagranicznych robotników jest rozpaczliwe. Dziesięć lat temu pracę można było otrzymać we Francji bez trudu. Dziś pracodawcy oferują 25 centów za godzinę, cenę, za jaką pracują Portugalczycy. Odmowa oznacza przyjęcie konkurenta — Portugalczyka, który przyjmie pracę za każde wynagrodzenie.

Mimo ustawy, nielegalni imigranci przeciekają do Francji różnymi kanałami, nawet przez Pireneje, gdzie w kwietniu tego roku znaleziono w śniegu kilku zamarniętych Malajczyków. Tam pozostawili ich przewodnik, spłoszony przez straż graniczną. W hiszpańskiej kafejce, tuż przy granicy z Francją, przewodnikom proponują po 45 funtów szterlingów za jeden kurs przez granicę.

Nielegalna imigracja jest znakomitym biznesem. Firmy wypłacają wysokie premie za dostarczenie robotników, imigrantów, których mogą angażować na wymuszonych warunkach pracy.

Max Diamant, pracownik zachodniemieckiego związku metalowców, oraz jego współpracownicy są przekonani, że handel robotnikami-imigrantami jest zorganizowany przez zawodowców i kierowany z operatywnego centrum.

J. CZECH

Wiedeńskie dyskusje o rozbrojeniu

Nafta bohaterem wydarzeń

Wkład Polski w pokój na Bliskim Wschodzie

W WIEDNIU toczą się rokowania 19 państw na temat wzajemnej redukcji sił zbrojnych i zbrojeń w Europie Środkowej. Ich historia sięga 1970 roku, kiedy to — w czerwcu — ministrowie spraw zagranicznych krajów Układu Warszawskiego zaproponowali rozpatrzenie tego problemu w sposób konkretny. W niecały rok później sekretarz generalny KC KPZR — Leonid Breżniew oficjalnie zaprosił państwa zachodnie do rozpoczęcia negocjacji. 18 stycznia bieżącego roku ostatecznie uzgodniono termin i miejsce wstępnych rozmów, które 31 stycznia rozpoczynają się w Wiedniu. Bierze w nich udział 7 państw Układu Warszawskiego oraz 12 — Paktu Atlantycznego.

Ale przez trzy miesiące konsultacje nie posuwają się naprzód, gdyż nie można uzgodnić statusu niektórych państw. Pisaliśmy o tym, że przez długi okres nie dochodziło do plenarnych posiedzeń, a rozmowy toczyły się w mniejszych lub większych grupach. Dopiero w maju sytuacja zmieniła się i dochodził do sesji plenarnych, na których impas zostaje przelamany. W czerwcu natomiast Breżniew i Nixon ustalają 30 października jako datę rozpoczęcia negocjacji. Delegacje 19 państw przyjmują tę propozycję. Rokowania rozpoczynają się w uzgodnionym terminie.

Niejednokrotnie pisaliśmy już o sensie tej konfrontacji — ma ona doprowadzić do zrównoważonego zredukowania zbrojeń i sił zbrojnych obcych i narodowych w uzgodnionej wcześniej strefie Europy Środkowej.

Rozmowy wiedeńskie obejmują tak wielki kompleks zagadnień, że z pewnością potrwać długo. Ale atmosfera wokół nich — jak zgodnie stwierdzają obserwatorzy — jest konstruktywna. Chodzi bowiem — zażartował ktoś w prasie zachodniej — o kurację odchudzającą, która wszystkim wyjdzie na zdrowie.

Konferencja rozbrojeniowa wsparta jest Europejską Konferencją Bezpieczeństwa i Współpracy oraz omawiana przez nas w dwóch kolejnych komentarzach radziecka propozycja obniżenia o 10 proc. poziomu wydatków na zbrojenia wielkich mocarstw — stałych członków Rady Bezpieczeństwa. Przypominamy, że zgłoszona ją na sesji Zgromadzenia Ogólnego NZ i włączona została do porządku dziennego. Nie ma wprowadzić między nimi żadnego bezpośredniego funkcji, ale świadczą to o szerokim froncie rozmów na temat bezpieczeństwa narodów.

W tym właśnie czasie, kiedy rozpoczęła się omawiana konferencja, w

MOSKWIE zakończył obrady Światowy Kongres Sił Pokoju, uchwalając kilka ważnych dokumentów. W jednym z nich — apelu do wszystkich ludzi na świecie — Kongres stwierdził, że pojawiła się realna nadzieja na to, że obecne i przyszłe pokolenia mogą być wyzwolone od koszmarny katastrofy nuklearnej. Kongres sugeruje, aby narody wystąpiły z żądaniem powszechnego i całkowitego rozbrojenia, likwidacji wszystkich baz i sojuszków wojskowych, przyjęcia międzynarodowej konwencji, zakazującej stosowania, produkcji i gromadzenia broni jądrowej oraz dokonywania z nią prób.

Kongres z całą mocą podjął więc problem rozbrojenia, które, na skalę naszego kontynentu, dyskutowane są obecnie w Wiedniu.

Warto zwrócić uwagę na jeszcze jeden fakt — wzrost napięcia bliskowschodniego w niczym nie pohamował procesów odprężeniowych, czego oczekiwały siły zimmowej.

Bohaterem ubiegłorocznych wydarzeń na Zachodzie stała się NAFTA. Kryzys paliwowy zmusił niektóre kraje do podjęcia drastycznych ograniczeń. W Holandii na przykład kierowcy mają zakaz uruchamiania pojazdów w niedzielę. Temu problemowi poświęcił też większą swoją telewizyjnego wystąpienia przez Nixon. Ogłosił on program oszczędnościowy zużycia paliwa, którego podstawowymi elementami są: ograniczenie szybkości samochodów do 50 mil na godzinę, zmniejszenie ilości lotów o 10 proc., obniżenie dostaw oleju opałowego o 15 proc., oszczędniejsze opalanie pomieszczeń do 18—19 proc. oraz zakaz przechodzenia zakładów przemysłowych na opalanie ropą. Jeśli te posunięcia — zagroził Nixon — nie przyniosą pożądanych rezultatów — konieczne stanie się racjonowanie benzyny i paliw.

Zanim wyjaśnimy źródła tego kryzysu — przypomnijmy, że USA importują ok. 20 proc. zużywaną ropy, z tego pięć szóstych z krajów arabskich. A więc

głównym powodem ograniczeń są wydarzenia na Bliskim Wschodzie.

Pisaliśmy już na tym miejscu, że w odpowiedzi na pomoc, udzieloną Izraelowi przez Stany Zjednoczone, kraje arabskie sięgnęły do „broni naftowej”, obniżając stale dolne wydobycie ropy. Do USA i Holandii kilka krajów — dostawców wstrzymało w ogóle wywóz. Ta blokada daje się solidnie we znaki państwom zachodnim. Czym grozi gospodarce amerykańskiej — przyznał Nixon swym drastycznym programem oszczędnościowym. Zwrócił, że inne kraje eksportujące np. Indonezja, Wenezuela znacznie podniosły cenę ropy.

Tak więc dotknął nas **PROBLEMY BLISKOWSCHODNIEGO**.

Jaka jest aktualna sytuacja? Za najważniejsze wydarzenia ostatnich dni trzeba uznać zaakceptowanie przez Egipt i Izrael 6-punktowego porozumienia, które otwiera drogę do rozpoczęcia pokojowych rozmów. Niestety, w chwili kiedy piszemy ten komentarz, Izrael nadal sabotuje uchwałę Rady Bezpieczeństwa, przewidującą powrót wojsk na pozycje z 22 października.

Tymczasem liczba wojsk ONZ na Bliskim Wschodzie wzrosła już do 1,5 tys. żołnierzy. Jak wiadomo — do wojsk tych kieruje jednostkę również Polska. Z prośbą taką zwrócił się do nas z upoważnienia Rady Bezpieczeństwa Kurt Waldheim — sekretarz generalny ONZ. Odpowiadając pozytywnie na tę propozycję pragniemy, jak mówili na akademii z okazji 56 rocznicy Wielkiej Październikowej Rewolucji min. Olszowski — „przyczynić się do wprowadzenia w życie zawieszenia broni, wygaszenia ognisk wojny i przywrócenia sprawiedliwego i trwałego pokoju”. Warto dodać, że Polska jest pierwszym krajem ze wspólnoty socjalistycznej, który skieruje jednostkę wojskową do sił zbrojnych ONZ.

W. ŚLAWSKI



MAGAZYNEK

DRODZY CZYTELNICY!

Oddając w Wasze ręce nasz Pierwszy Numer, świadomi jesteśmy, iż wypełniamy lukę. Luka była dotkliwa, ale już jej nie ma. Czytajcie nas, propagujcie nas, piszcie do nas.

Nic, co filmowe, nie może być nam obce. Żyjemy w Łodzi — Stolicy Polskiego Filmu.

ZE ŚWIATA FILMU

W Carras natknięto się nieoczekiwanie na nieznaną siostrę braci Lumiere. Stała sobie spokojnie i była nawet może trochę lepsza od braci.

Młody reżyser amerykański, J. Gandman, zastosował w swoim nowym filmie ciekawy eksperyment. Ukazał on mianowicie, to co wesołe na smutno, zaś to co smutne pozostawił tak,

MAŁE KINA

jak było, bo co się ze smutnego śmiać... Reakcja widzów przeszła wszelkie oczekiwania. Nawet na najweselszych scenach, nie usłyszano dotychczas żadnego śmiechu! Trzeba wiedzieć, czego się chce!

We Włoszech powiadają, że reż. Federico Fellini robi zupełnie niezłe filmy.

Z RODZIMEGO PODWÓRKA

Doganiamy czołówkę! W kółkach zainteresowanych mówi się, że pewien polski reżyser jako pierwszy uzyskał zapach na sali kinowej.

KĄCIK KINOMANA

Oto jedna z propozycji. Dysponując ciasnym mieszkaniem spółdzielczym przesuwamy szafę o około 50 cm i uzyskamy w ten sposób powierzchnię stykową dwóch ścian obwieszamy kilimkiem o barwach neutralnych. Teraz stajemy w Naszym Kąciuku i spokojnie rozmyślamy na dowolne tematy filmowe. Radził Wam Wasz Scenograf. Piszcie do niego!

NIECO ROZRYWKI: FILMOWA ZGADYWANKA

Oto litery: P... T... D... S... J... Od tych liter zaczynają się cyfry numeru telefonicznego znanego łódzkiego reżysera filmowego. Odgadnij cały numer. Wykreć go! Jeśli odgadłeś dobrze, w nagrodę usłyszysz głos reżysera. Pochwał teraz grzecznie jego twórczość. W ten sposób obaj będziecie zadowoleni.

ANDRZEJ CZEKAŁSKI

POCZTA POWIĘKSZEŃ

Dyrekcja Szpitala im. Kopernika przesyła Ob. Redaktorowi odpis pisma, skierowanego do Naczelnego Redaktora „Expressu Ilustrowanego” i Wydziału Zdrowia i Opieki Społecznej, które jest odpowiedzią na notatkę zamieszczoną w „Expressie Ilustrowanym” w dniu 13.10. 1973 r.

Dyrekcja Szpitala spodziewała się reperkusji w innych czasopiśmie na notatkę o fascynującym tytule i treści. Będziemy bardzo zobowiązani Redakcji „Odgłosów” — pisma, które wszyscy chętnie czytamy, o sprawdzenie wiarygodności faktów zamieszczonych w innych czasopiśmie. Łączymy serdeczne pozdrowienia od Załogi Szpitala

Obywatel
Redaktor Naczelny
„Expressu Ilustrowanego”
Łódź, ul. Piotrkowska 96

Dyrekcja Szpitala im. Mikołaja Kopernika po zapoznaniu się z notatką pt. „Garsniera w stercie desek” wyraża zailekowanie, spowodowane treścią artykułu i uprzejmie prosi o dokonanie sprostowania.

1. W zapleczu Szpitala zostały składowane duże ilości supremy do budowy pawilonu technicznego. Słabe zabezpieczenie ogrodzenia od posesji Domu dla Przewlekłych Chorych przy ul. Ciołkowskiego powoduje częste przechodzenie na teren szpitala młodzieży w wieku szkolnym zamieszkałej w okolicznych domach. Ogrodzenie nie będzie prawidłowo wykonane w III etapie inwestycji związanej z budową nowego pawilonu Onkologii.

2. W dniu 4.10. 73 r. w godzinach popołudniowych zaistniał fakt uszkodzenia kilkudziesięciu płyt supremy przez grupę młodzieży, która przedostała się przez płot.

3. W dniu 5.10. 73 r. wezwano do Szpitala sprawców oraz ich rodziców, którzy zobowiązali się pokryć szkody, stwierdzone komisyjnie na sumę ok. 1680.— (Protokół z dnia 5.10. 73 r. znajduje się w dyrekcyjnej korespondencji).

4. Podane w notatce informacje, sugerujące jakoby w stercie supremy znajdowało się pomieszczenie wyposażone w sprzęt szpitalny, jest nieprawdziwe.

Dyrektor
Administracyjno-Ekonomicznej
Ignacy Luty

POWIĘKSZENIA: Dziękujemy za wyjaśnienia. Jednocześnie pozwalamy sobie przypomnieć, że „Powiększenia” nie sprawdzają wiarygodności faktów, zamieszczonych w innych czasopiśmie. Nie taka bowiem nasza rola.



DROBIAZGI

Informator WAG-u pt. „Łódź” przynosi nieco ciekawostek o mieście — mniej więcej prawdziwych. Na przykład: „Tu działała grupa „a.r.”, do której należał najbardziej awangardowy twórca — W. Strzemiński, K. Kobra, J. Przybós. Powstanie tej grupy przygotowane zostało przez poetów zgromadzonych wokół czasopiśma „Meteor”...

Przywołanie nazwiska Karola Hillera i Jana Brzozowskiego. Prawda historyczna nakazuje sprostować, że informacja o „Meteorze” jest w tym miejscu po prostu balałmatna, bowiem Brzozowski i Przybós związani byli z czasopiśmem o nazwie „Zwrotnica”. Natomiast zastępca grupy „a.r.” jest powstanie kolekcji sztuki nowoczesnej, o czym informator dla odmiany nie mówi... Drobiazgi to, co prawda, ale w 20-tysięcznym nakładzie.

Rzetelność informacji sprawdza się też w rubryce „Gdzie wypić pół czarnej”. Autorzy podają adresy... herbaclarni, gdzie „pół czarnej” jako żywo nie uswiadczą!

ROZNIKA

„Dziennik Łódzki” pyta swoich czytelników: „Czy masz jedynakowy stosunek do Iwaszkiewicza i Zeydlera-Zborowskiego?” Odpowiadamy: „Dziennik Łódzki” nie ma jednakowego stosunku. Po prostu Zeydlera-Zborowskiego drukuje — Iwaszkiewicza nie drukuje...

PRZEPIERKA

Nasza ulubiona gazeta warszawska nie ustaje w publikacji cytatu „Podróż po mieszkaniu”. Po rewelacji na temat nur kanalizacyjnych i przepalonych bezpieczników — tym razem zapoznała czytelników z krótkim kursem n.t. pralki. Dowiadujemy się z instrukcji, że aby prać, trzeba do pralki natlać wody. Szalenie to emocjonujące, czekamy na dalsze odciuki.

POWIĘKSZENIA

NAGRODY

„Trzy główne nagrody...” donosi zachęcająco „Express Ilustrowany”. Czyżby w ten aluzjny sposób chciano dać do zrozumienia, że wartość tych nagród była... powiedzmy niewielka?

FIGLARNY STYLISTYKA

„Właściwe ustawienie stosunków międzyludzkich...” pisze w komentarzu „Express Ilustrowany”. Jeśli chodzi o stosunki to wygodniej je układać niż ustawiać. Ale — de gustibus...

BRONIAREK SPIEWA

Zygmunt Bencuszek (korespondent „Przekroju”) odwiedził browar w Kopernadze. Tamże na schodach odśpiewał (jak niegdyś Klepura) arie z „Krainy uśmiechu”. Ale — niestety, jak pisze „dyrektor browaru Carlsberg nie przejawiał żadnej inicjatywy, aby uwiecznić mienie na fotografii w salonie recepcyjnym jego firmy. Widocznie nie ma słuchu...” Albo ma.



SEX W LITERATURZE SEX W LITERATURZE SEX W LITERATURZE

ELIA KAZAN

UKŁAD

Dawniej przerażały mnie kzy kobiet, ale im to, zdaje się przechodzi całkiem bez trudu. Leżałem przy niej, ona płakała i wszystko między nami było dobrze. Po chwili powiedziała:

- Charles jest taki dobry.
- Ja mu ufam.
- Nie potrafisz się zdobyć na to, co on robi.
- On też nie potrafi, kochanie. W tej chwili on wyskakuje ze skóry, jak ja bym wyskakiwał na jego miejscu. On ci jeszcze pewnego dnia rozplata głowę siekierą. Albo mnie.
- Ja mu ufam.
- Ufał, że on to właśnie zrobi. Jest spokojny, kiedy nie powinien być. Wygląda mi na furia.
- Nie możesz po prostu uwierzyć, że istnieją na świecie ludzie tolerancyjni, dobrzy i wyrozumiali.
- Nie można tolerować tego, co ty z nim wyprawiasz. On musi być obłąkany, żeby to znieść cierpliwie.
- Znosi to już od dłuższego czasu, nie tylko kiedy jestem z tobą, ale znosił to, kiedy byłem i z innymi.
- Z kim?
- Z innymi.
- Z kim?
- Chcesz wiedzieć z kim?
- Tak.
- Po pierwsze z jego bratem.
- Wiem, z kim jeszcze?
- Ty nie potrafisz tego znieść, On potrafi. Nie masz siły spojrzeć prawdzie w oczy.
- Wypróbuj mnie. Z kim jeszcze?
- Z facetem, którego poznałam na jakimś przyjęciu, zapomniałam już, jak się nazywał, oto z kim jeszcze. Odprowadził mnie do domu. Kiedy się obudziłam rano, jego już nie było i nie zostawił nawet paru słów na kartce.
- Z kim jeszcze?
- Z pewnym Murzynem, którego znalazłam w czasów szkolnych i który wówczas kochał się we mnie.

- Robiłaś to już z nim w szkole?
- Nie, ale przed trzema miesiącami tak.
- Z kim jeszcze?
- Z jego najlepszym przyjacielem.
- Też z Murzynem?
- Masz coś przeciw Murzynom?
- Owszem, nie chcę, aby rżnęli moją dziewczynę. I nie chcę, aby to robili biali, czy Chińczyki czy Partorykańczyki, czy Francuziki, czy Hindusiki!
- Nie jestem twoją dziewczyną. Mówię ci to, żebyś zrozumiał, że już grubo za późno. Przegapiłeś zbyt wiele rzeczy. Nie czekałam na ciebie tam, gdzie mnie zostawiłeś. Nie jestem bagażem, który odbiera się z przechowalni.
- Z kim jeszcze?
- Tobie się zdaje, że możesz odejść bez słowa, zamknąć mnie na klucz, zniknąć, trzymać mnie w lodówce?
- Z kim jeszcze?
- Z tłustym staruchem, producentem filmowym, który jest Włochem, komunistą i pedalem, który jest bogaty jak świnia i cholernie arogancki, który traktował mnie jak błoto, bo twierdził, że chłopcy są lepsi. Bardzo go lubiłam. — Nagle powiedziała z pasją: — Ciebie nie lubię. Nie chcę wisić na tobie!
- Z kim jeszcze?
- Z typem, którego zobaczyłam w restauracji Sardiego, kiedy jadł lunch z aktorką. Ona potem poszła na próbę, a on zaproponował, że się przesiedzi do mojego stolika. Oświadczył mi, że nie z tego, ale wychodząc zobaczyłam, że on ciągle czeka na mnie, więc przysiadłam się do niego. Powiedziała mi, że ma szczęście.
- Gdzieś ty to z nim robiła?
- W moim mieszkaniu. Tam gdzie robiłam to i z tobą, w tym samym łóżku.
- Jak on się dostał do twego mieszkania?
- Poprosiłam go, żeby poszedł ze mną na górę. Musiałam zobaczyć, co robi dziecko, prawda?
- Widziałas go od tego czasu?
- Raz tylko. — Milczałam. — Masz dość?
- Z kim jeszcze?
- Jak ci się podobają moje opowieści?
- Wcale mi się nie podobają. Z kim jeszcze?
- Tobie się wydaje, że możesz mnie zostawić i nie się nie będzie działo, tak? Nie jestem twoją matką, która jest zawsze na twoje zawołanie i zawsze ci wszystko wybaczca.
- Z kim jeszcze?
- Myślałeś, że będę siedziała w lodówce i czekała na ciebie. Tak? Powiedzi!
- Z kim jeszcze?
- Z Jackiem Schneem, tym od plakatów... z ktm jeszcze? Co za różnica? Masz już jakieś pojęcie.

- Z tą kreaturą, Jackiem Schneem?
- Tak.
- Co ci się w nim podobało?
- To, że on się tobie nie podoba. Pamiętałam to. Więc widzisz, że konto jest zamknięte. Nie masz już nic na rachunku.
- Z kim jeszcze?
- Nie pamiętam już.
- Przypomnij sobie.
- Ale czy cię to boli?
- Boli.
- A myślałeś, że potrafisz to znieść, tak?
- Potrafię.
- Chcesz wiedzieć, z kim jeszcze?
- Wystarczy, mam już pojęcie.
- I ciągle chcesz się ze mną żenić?
- Ja się z tobą ożenię.
- Chcesz wiedzieć, kto był najlepszy z tej paki i dlaczego?
- Nie chcę wiedzieć.
- Ten stary Włoch. On był fantastyczny. Potrafił leżeć w łóżku na wznak z dwiema poduszkami pod głową i...
- Już dobrze, rozumiem...
- Ale chcę, żebyś to usłyszał. Leżał sobie i żeby nie wiem co wyprawiała i nie wiem jak długo, żeby nie wybrała się w podróż dookoła świata na tym, on był ciągle twardy. I przecież był stary, miał marne ciało, a jednak leżał jakby nigdy nic, z dwiema poduszkami pod głową i tym swoim wysiłkowym brzuchem, bo to nie był żaden Adonis. Ale patrzył na mnie i uśmiechał się ciepłym włoskim uśmiechem. Patrzył na mnie tak jakoś serdecznie, jak gdyby mnie podziwiał, kiedy siedziałam na tym. Trzymał mnie za brzuszek oboma rękami, tymi miękkimi włoskimi rękami, na których było pełno wielkich wtrąbionych plam, miał ręce jak stary święty na obrazie.
- Wystarczy.
- Żadnego bełkotu o miłości liede, ale tyle serdeczności, najczystsza, najbardziej zasługująca na wiarę i najuczciwsza sprawa. Serdeczność! Byłabym wyszła za niego za męża, bo był taki serdeczny. Ale nie z miłości. Faceci mówią, że kochają, kiedy są rozpaleni, a na drugi dzień znikają bez słowa na pożegnanie. Miłość nie schodzi im z języka, zanim nie wyprują z kobiety wszystkich flaków.

(Fragmenty)

Elia Kazan (ur. 1909). Amerykanin greckiego pochodzenia — wybitny twórca filmowy i teatralny. (Nagroda Academy Award). Tematem „Układu”, powieści głośnej w całym świecie, są szeroko pojęte „układy” życia osobistego, rodzinnego i społecznego współczesnego Amerykanina. Elia Kazan jest także autorem głośnych filmów wg własnych powieści: „Ameryka, Ameryka” i „Układ”.

Wydawca: RSW „Prasa—Książka—Ruch” — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe w Łodzi. Adres redakcji: ul. Piotrkowska 96, kody poczt. 90-950 i 90-103, telefony 244-79, 217-98 oraz 293-00 wew. 29, 39, 40 i 41. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart. 36 zł. Redakcja nie zamawia rekopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótoów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch” — z zaznaczeniem na „Odgłosy”. Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa—Książka—Ruch”, Łódź, ul. Żwirki 17. Zam. 2485, T-4, Nr indeksu 37006